

W DRODZE

DWUTYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI

Nr. 4 (22)

Jerozolima, 16 lutego 1944 r.

Rok II

MIECZYSLAW SZERER

Konstytucja z 1935 r. a współczesność polska

Rozprawa niniejsza wychodzi z założenia, że Konstytucja r. 1935 jest naszą obecną formą ustroju.

Konstytucja ta posiada zaletę, za którą wiele będzie mogło być w niebie przebaczone jej twórcom. Artykuł, upoważniający Prezydenta Rzplitej do ustanowienia w czasie wojny swego następcy, umożliwił przeniesienie na obczyznę regularnych władz okupowanego kraju. Władze te nie mogły mieć legalnej konkurencji. Toteż nie może być w obecnym położeniu mowy o zwalczaniu Konstytucji z r. 1935.

Premier Mikołajczyk w exposé, wygłoszonym w Radzie Narodowej dnia 27 lipca 1943 r., powiedział bardzo słusznie o tej ustawie: „Niewątpliwie w przyszłości dążyć będziemy do zmiany jej poszczególnych postanowień, lecz dzisiaj jest ona prawną podstawą działania władz państwowych z Panem Prezydentem i Rządem na czele i za taką, wobec niemożności jej zmiany poza granicami Państwa, musi być i będzie uznawana”.

Jest to jedyne możliwe stanowisko. Można dyskutować na temat, czy przyszłe zmiany dotyczyć będą jedynie „poszczególnych postanowień”, czy też obejmą całość ustawy zasadniczej (osobiście przychyliam się do tego drugiego zdania). Ale jest jasne dla każdego, że póki kraj nie posiedzi swobody wypowiedzenia się o swej konstytucji, należy podstawę prawną obecnych władz na emigracji zostawić w spokoju.

Co innego jednak nie podgrzebywać się pod fundament konstytucyjny, a co innego — chcieć w wykonanie Konstytucji z r. 1935 wprowadzić praktykę, zgodną z wymaganiami czasu i położenia. Zobaczmy, jak tego rodzaju chęć wygląda ze stanowiska prawnego i politycznego.

Figle interpretacyjne

Chciałbym jednak przedtem rozprawić się z zarzutem, łatwym do przewidzenia, że mianowicie tego rodzaju naginanie Konstytucji z r. 1935 przypomina sławetne harce, które z Konstytucją z r. 1921 wyprawiali niektórzy doradcy prawni rządów z epoki pułkownikowskiej. Pamiętamy dobrze, jak sumienie prawnicze wzdrygało się przeciw ówczesnym „interpretacjom”. Czyżbyśmy chcieli naśladować ten przykład? Winien jestem wszystkim uczciwie zaniepokojonym odpowiedź, która nie jest trudna.

Interpretacja — i to interpretacja rozszerzająca lub zwężająca pierwotne zamierzenia ustawy — bywa nadzwyczaj cennym czynnikiem postępu prawa. Zapewne, idealny stan byłby, gdyby tuż za każdą zmianą warunków życia postępowała zmiana odpowiednich norm prawnych, dokonana drogą ustawodawczą, i parlament, siedząc w wieży obrotowej i rozglądając się nieustannie a bacznie po całej dziedzinie życia społecznego, natychmiast pędził za przerabianiem odnośnego ustawodawstwa. Ale niczego podobnego nie ma i być nie może. Ciągłe nowelizowanie ustaw, nie pozwalając ustalić się regulacjom, bywa również niezdolne, jak ucisk praw skośniatych.

Poza tym ustawy miewają po kilkadziesiąt, w Anglii po kilkaset lat. Przez ten czas poszczególne ich dyspozycje pozrastają się z tyłu postanowieniami innych ustaw i stały się podstawą tyłu zwyczajów, że nowelizowanie ich może nastroić wielkie trudności praktyczne. Albo inne przyczyny sprawiają, że ustawodawca nie wkracza. Wtedy jednak wykładnia — temperując dawne pojęcia — pozwala normom ustawowym przechodzić ewolucję odmładzającą, dzięki której nadal służą potrzebom życia, zamiast doprowadzić do niebezpiecznych konfliktów.

Nie sam więc zasięg interpretacji rozstrzyga o jej dopuszczalności lub niedopuszczalności. Wykładnia może iść bardzo daleko w kierunku przeinaczania dawniejszego rozumienia ustawy, a mimo to nikt jej nie zarzuci niemoralności. Sąd o wartości interpretacji — o tym, czy jest pomocą do spokojnej ewolucji stosunków prawnych, czy też jest wyprawianiem figlów z porządkiem ustawowym — można wydać dopiero, oceniając cel, do którego zmierza wykładnia, i rezultat, do którego doprowadza. Inaczej mówiąc, trzeba nasamprzód ustalić pewne wartości krytyczne. Trzeba zadać sobie pytanie, czemu służy ustawodawstwo. W szczególności, w związku z

zagadnieniem, które nas tu interesuje: czemu służy ustawodawstwo konstytucyjne?

Ale i odwrotnie: kto stoi na stanowisku, że nie należy tykać integralności Konstytucji z r. 1935 (czyli, że należy jej wykonywanie odtwarzać z fotograficzną wiernością), ten wyraża tym samym zapatrywanie, że we współczesnych stosunkach polskich jest miejsce na antydemokratyczność, który twórcy naszej drugiej Konstytucji wyznawali jawnie i z dumą i z którego otwarcie czynili zapórę przeciw „zapożyczonym” poglądom ludowładczym.

Każdemu wolno — pośpieszam dodać, choć to właściwie zbyt — każdemu wolno wyznawać taki pogląd i obiecywać sobie zbawienie Polski po jego urzeczywistnieniu. Ale każdego też obowiązują logika myślenia. Otóż logika wskazuje, że te dwie rzeczy — trwanie przy literze Konstytucji z r. 1935 i chęć utrzymania przedwojennego systemu politycznego — trzymają się ze sobą, jak wzajemny skutek i przyczyna i nie sposób ich rozłączyć.

Ognisko dyskusji

Ta dyskusja konstytucyjna, która jest praktycznie ważna w naszych warunkach, ogniskuje się około art. 13-go, wymieniającego uprawnienia osobiste Prezydenta (prerogatywy), do których wykonywania niepotrzebna jest kontrasygnata rządowa.

Powiem odrazu, że nie uważam konieczności kontrasygnaty na każdym akcie urzędowym Prezydenta za dogmat demokratyczny. Są mianowicie, zdaniem moim, dwa akty Prezydenta, na których kontrasygnata jest z natury rzeczy pozbawiona wszelkiego znaczenia i które wskutek tego mogą śmiało obyć się bez niej.

Pierwszym jest mianowanie i odwołanie Prezesa Rady Ministrów. Za zwolnieniem tego rodzaju dokumentów od kontrasygnaty wypowiedziałem się jedenaście lat temu w broszurze, krytykującej projekt Konstytucji, złożony wówczas od laski marszałkowskiej, a opracowany przez BBWR. Tłumaczyłem tam, że kontrasygnata jest w tym przypadku ze stanowiska moralności niepożądana, ze stanowiska polityki zbędna, a ze stanowiska logiki nonsensem.

„Upatrzanie człowieka, który utworzył rząd i będzie nadawał wytyczną jego polityce, jest najdonioślejszym, a zarazem najbardziej samodzielnym aktem działalności Prezydenta. Jest to czynność, w której najsilniej zaznacza się jego indywidualność, z której mianowicie najdobitniej wykazuje się jego znajomość ludzi i stosunków. Czynnością tą Prezydent pomaga polityce kraju skierować się na pomyslnie drogi lub pozwala jej utwierdzić się w chaosie. Jest to zatem akt, który jak najsilniej ciążyć musi na sumieniu i hipotece politycznej Prezydenta, i słusznym jest, by brak kontrasygnaty uwydatniał, że akt ten dokonany jest na ściśle osobistą odpowiedzialność Prezydenta. Nie może być wcale pożądane, aby ta odpowiedzialność moralna Głowy Państwa była zaciemniona przez dopisanie się drugiego człowieka. To samo dotyczy odwołania Premiera.”

A teraz ze stanowiska politycznego. „Czy przez zwolnienie nominacji i odwołania premiera od kontrasygnaty nie zaginie kontrola parlamentu nad charakterem politycznym rządu? Nie. Bo póki istnieje odpowiedzialność rządu przed parlamentem, póty ciało ustawodawcze będzie zawsze mogło wyrazić nieufność premierowi i wywołać w ten sposób jego ustąpienie bez względu na to, czy kontrasygnował swą nominację, czy ją tylko po prostu przyjął. W sferze odpowiedzialności politycznej nie więc przez tę kontrasygnatę nie przybywa, ani przez jej brak nie ubywa. Kontrasygnowanie jest tu czynnością najzupełniej czczą.”

Nie też nie wytwarza się w dziedzinie prawnej. Jeżeli bowiem mianowanie było dokonane z pogwałceniem prawa, będzie można tak czy owak pociągnąć premiera do odpowiedzialności przed Trybunałem Stanu: w razie kontrasygnaty — za dokonanie mianowania; bez kontrasygnaty — za przyjęcie mianowania, co wyjdzie na to samo.

Wreszcie ze stanowiska logiki jesteśmy w krainie nonsensów. Jeśli bowiem nominacja nie jest dokonana w pełni, póki jej nie kontrasygnowano, „to przecież nowy premier, zasiadający do kontrasygnowania własnej no-

minacji, nie jest jeszcze w tej chwili ważnie mianowanym premierem; a skoro nie jest jeszcze ważnie mianowanym premierem, to kontrasygnata jego jest jedynie podpisem prywatnego obywatela i tyleż warta. Logicznie zatem biorąc, nie mogłoby nigdy dojść do ważnej nominacji premiera”.

Drugim aktem Prezydenta, pod którym kontrasygnata ministra kłóciłaby się z logiką, jest mianowanie Prezesa Najwyższej Izby Kontroli. Skoro zadaniem N.I.K. jest kontrola finansowej strony gospodarki rządowej i skoro ona to przedstawia Sejmowi wniosek o udzielenie lub nieudzielenie absolutorium dla rządu — jest rzeczą oczywistą, że urząd ten musi pozostawać w zupełnej zależności od rządu. Stwierdzały to też obie Konstytucje — tak ta z r. 1921, jak ta z r. 1935. Domaganie się zatem, by rząd przez kontrasygnatę wyrażał zgodę na obsadzanie prezesury N.I.K., oznaczałoby, że pozostawia się kontrolowanemu wybór tego, kto go ma kontrolować.

Rola współczesnej konstytucji

Dla ludzi, wychodzących z założeń demokratycznych — a do tych tylko mówię — nie może być dwóch zdań co do tego, że celem konstytucji winno być ustalenie takiej organizacji władz państwowych i takiego ich stosunku do obywateli, by życie wolnego człowieka mogło rozwijać się na jak najwyższym poziomie. Te dwa kryteria:

1. wolność jednostki jako warunek godności bytu ludzkiego i
2. dopuszczenie każdego do równego udziału w dobrodziejstwach rozwoju

stanowią podstawę filozofii politycznej, więc: podstawę systemu moralnego demokracji. Z tej filozofii politycznej i z tego systemu moralnego wychodziła Konstytucja z r. 1921. Można nie bez racji dysputować o tym, czy w wyciąganiu konsekwencji nie szła czasem za daleko; czy pewne jej postanowienia nie były (że przypomnę określenie Stanisława Thugutta), jak zbyt duża koszula, co płące się koło nóg. Ale że Konstytucja ta wychodziła z założeń wolnościowych i z zasady stanowienia obywateli o swym losie, oraz że takie właśnie założenia i taka zasada odpowiadały woli olbrzymiej większości narodu polskiego — to jest pewnik, a więc i nieomylny wskaźnik, wedle którego demokracja musi oceniać wykonywanie naszej pierwotnej ustawy zasadniczej.

Otóż z tej wysokości ocena interpretacji, którym poddawano Konstytucję z r. 1921 i szereg ustaw, o nią opartych, wypada fatalnie dla autorów tych wykładni. Nie to było ich śmiertelnym grzechem, że w ogóle chcieli odstępować od pewnych brzmień ustawowych, ale że ich odstępstwa szły w kierunku wręcz sprzecznym z duchem politycznym i moralnym systemu, jaki naród sobie nadał i pragnął utrzymać. Ich interpretacje nie pomagały Konstytucji spełniać roli, która odpowiadała woli społeczeństwa. Wręcz przeciwnie, na przekór tej woli chciały z Konstytucji, pomyślanej jako wyraz wolności i samodzielności obywateli, uczynić narzędzie pozbawiania obywateli tego właśnie, czego najbardziej od niej oczekiwali.

Interpretacje z okresu pułkownikowskiego zachowują jedno z pierwszych miejsc w historii niemoralności politycznych dlatego, że cynicznie kradły społeczeństwu jego wolę. Interpretacja natomiast, na której potrzebę pozwalam sobie wskazać w niniejszej rozprawie, pragnie przywrócić woli społeczeństwa należną wagę. Jeśli ktoś nie dostrzeżał ogromu tej różnicy nie będą z nim się sprzeczać. Albowiem nie ma człowieka bardziej ślepego niż ten, który nie chce widzieć, i daremnie takiemu tłumaczyć, czym różni się czarne od białego.

Podstawa realna Konstytucji

Konstytucja nie bierze się z niczego. Nie dzieje się tak, że w pewnej chwili rozstępują się nad krajem obłoki i spływa poprzez nie gołębicą, trzymając w dzióbku paperek z konstytucją.

Konstytucja wyrasta z gruntu rzeczywistości społecznej. To po prostu prawne utwierdzenie pewnego faktycznego stosunku się zbiorowych. To odbicie stanu, do którego doprowadziło zmaganie się owych sił, i to stwierdzenie zwycięstwa jednego z nich nad drugim. Wygląd konstytucji jest dowodem, że ci,

W numerze:

K. Grzybowski: Prowincjonalizm, izolacjonizm, polityka. — W. Bratkowski: Odbudowa gospodarcza Polski. — S. Askenazy: Międzynarodowość sprawy polskiej. — A. Janta: Droga naprzód. Inwokacja. — Z. Bronceł: Wielki niemowa. — S. Baliński: Wyznanie. Kłeska. — S. Weinberg: O politykę zagraniczną USA. — J. W. Hirschberg: Co wie inteligencja arabska o Polsce? — A. Slonimski: Regnum ostatnie. — L. Kurdybacha: Pierwsza encyklopedia polska. — A. Then: Początek wojny — w roku 1935. — Z prasy obcej. — ww.: Przegląd polityczny. — Kronika polska. — S. Dominik: Opinie angielskie.

co chcieli ją mieć taką, jaka jest, byli siłni, a ci, co skarżą się na jej dokuczliwość, byli słabi.

Nasza Konstytucja z r. 1935 nie jest wyjątkiem od tej zasady. Ona też odpowiadała ściśle stosunkowi sił, jaki był w owym czasie. Przeczyć temu może ten tylko, kto miesza wolę poszczególnych grup społecznych z ich siłą. To są jednak dwie różne rzeczy. Większość ludu polskiego mogła chcieć (i niewątpliwie chciała) innego zgoła ustroju niż ten, który się odczytywało z nowej Konstytucji. Ale mniejszość przeciwna miała wojsko, miała aparat administracyjny i miała Goleździnów. Układ woli był przeciw Konstytucji, ale układ sił był za nią. Dlatego Konstytucja ta weszła w życie.

Takie właśnie pozytywistyczne stwierdzenie, że Konstytucja z r. 1935 odpowiadała temu stosunkowi sił zbiorowych, jaki był w Polsce przez cztery ostatnie lata przedwojenne — takie właśnie stwierdzenie musi być punktem wyjścia naszej dyskusji. Cała rzecz bowiem w tym, że stosunek ów był, ale go już nie ma. Nie chcemy w najmniejszej nawet mierze naruszać zasady poszanowania prawa, a tym bardziej poszanowania prawa konstytucyjnego, osobiście uświęconego. Nie chcemy rewolucjonizować form wprowadzania i zmieniania konstytucji. Chcemy na gruncie Konstytucji z r. 1935 doprowadzić do zgodności prawa z życiem. Ale twierdzimy, że trzeba do tej zgodności dopiero doprowadzić. Czyli uważamy, że obecnie zachodzi niezgodność i że to jest niedobre.

Taka jest legitymacja naszej dyskusji. Kto nie dostrzega niezgodności pomiędzy podstawą społeczną Konstytucji z r. 1935 a współczesnym układem polskich sił zbiorowych, ten słusznie uczyni, odrzucając wszelką dyskusję konstytucyjną. Kto sądzi, że stosunki w oswobodzonej Polsce będą takie same, jak te, wśród których mogła powstać Konstytucja z r. 1935, że więc znów będziemy mieli grupę rządzącą odgórnie, znów będzie działał taki czy inny Ozon, znów generalny inspektor armii będzie drugą osobą w Państwie; kto tak sądzi, niech staje niewzruszenie w obronie każdej litery Konstytucji z r. 1935.

Nie trzeba zaś sądzić, że rezygnowanie z kontrasygnaty przy mianowaniu prezesa N.I.K. stwarza mu jakąś osobiście nietykalną pozycję. Obie przeciw Konstytucji stanowią, że jest on odpowiedzialny przed Sejmem. Czyni to w pełni zadość postulatowi demokracji, stwarzając wystarczającą kontrolę nad naczelnym kontrolerem.

Jak widać, oba akty, które — zdaniem moim — powinny być wyjątkiem od reguły kontrasygnowania, mają to wspólne, że nie stwarzają położenia, w którym wola przedstawicielstwa ludowego staje się bezsilna. W obu przypadkach przedstawicielstwo to może wkroczyć i uzyskać zniesienie aktu nieskrepowanej skąd inąd woli Prezydenta.

Ale też są to jedyne dwa akty urzędowe Prezydenta, przy których społeczeństwo posiada tego rodzaju zabezpieczenie, następcze wprawdzie, ale dostateczne. Pozostawienie natomiast Głowie Państwa pełnej swobody przy dokonywaniu jakichkolwiek innych aktów jest — rzecz jasna — tym bardziej sprzeczne z zasadą stanowienia narodu o swych sprawach, im zwierzchnik Państwa jest osobiście mniej odpowiedzialny.

Owóż w sprawie nieodpowiedzialności Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Konstytucja z r. 1935 poszła tak daleko, że dalej w ogóle pójść nie można. Tak daleko, że pozostawia w dużej odległości za sobą konstytucje wszystkich krajów, pretendujących do ustroju wolnościowego. Przekona nas o tym krótki przegląd Konstytucji.

Odpowiedzialność głów państwa

a) W Polsce.

Konstytucja z r. 1921, zwalniając Prezydenta R. P. od odpowiedzialności parlamentarnej i cywilnej, nałożyła nań jednak odpowiedzialność przed Trybunałem Stanu za zdradę kraju, pogwałcenie Konstytucji (jakie szerokie pojęcie!) i przestępstwa karne. Postawienie w stan oskarżenia prze Trybunałem Stanu miało powodować zawieszenie Prezydenta w urzędowaniu. Odpowiedzialność zatem była wyraźna, bodaj nawet nieproporcjonalnie wielka w stosunku do wątków uprawnień, jakie Konstytucja nadawała Głowie Państwa.

Konstytucja z r. 1935 odrobiła to grun-

townie. Pomnożyła wybitnie uprawnienia Prezydenta, a równocześnie jego odpowiedzialność doprowadziła do zera. Jest w rozrzedzaniu atmosfery odpowiedzialności koło Prezydenta konsekwentna do tego stopnia, że za czyny, nie związane nawet ze sprawowaniem urzędu, nie pozwala pociągać go do odpowiedzialności w okresie urzędowania. Byłaby więc w Polsce pod rządami Konstytucji z r. 1935 możliwość, że Prezydent Rzeczypospolitej na początku swego urzędowania popełni przestępstwo pospolite i nic mu za to przez 7 lat nie będzie. Nie tylko nic mu nie będzie, ale przez 7 lat będzie z pełną swobodą wedle osobistego uznania mianował i odwoływał premierów, naczelnych wodzów, prezesów Izby Kontroli, ba — pierwszych prezesów Sądu Najwyższego.

Co prawda, Konstytucja obarcza Prezydenta Rzeczypospolitej patetyczną odpowiedzialnością moralną. Powiada, że „na nim spoczywa odpowiedzialność wobec Boga i historii za losy Państwa”. Słowo „spoczywa” jest jednak w tym zdaniu dobrane bardzo trafnie. Ze stanowiska prawa i polityki to wieczne odpoczywanie.

b) We Francji

Prezydent jest odpowiedzialny za zdradę główną i za to przestępstwo może być na żądanie Izby Deputowanych postawiony przed sąd senatu. Oczywiście, mowa o konstytucji sprzed upadku Francji.

c) W republikach powersalskich

Niemcy. Konstytucja weimarska nadawała Reichstagowi prawo stawiania prezydenta w stan oskarżenia za pogwałcenie konstytucji lub jakiegokolwiek ustawy państwowej.

Austria. Wedle konstytucji z 1 maja 1934 r. — stanowiącej zdecydowany odwrót od demokratyzmu pierwszej konstytucji z r. 1920 — Zgromadzenie Federalne (t. j. zebranie czterech ciał doradczych, rekrutowanych już to drogą nominacji, już też drogą przedstawicielstwa korporacyjnego) może na wniosek Rady Związkowej (t. j. ciała ustawodawczego, wyfiltrowanego bardzo przemysłnie) uchwalić postępowanie przeciw prezydentowi.

Tak więc ta konstytucja nawet, owiana wyraźnie wiatrem ustrojów autorytetowych i wprowadzona na rok niespełna przed naszą z r. 1935, nie wyklucza możliwości odpowiedzialności Głowy Państwa. Zbędne dodawać, że poprzednia konstytucja austriacka — która zaczynała się od słów: „Austria jest republiką demokratyczną”, skreślonych w r. 1934 — obarczała prezydenta odpowiedzialnością za pogwałcenie konstytucji federacyjnej.

Czechosłowacja. Konstytucja z r. 1920 urządziła odpowiedzialność prezydenta zupełnie na wzór francuskiej.

Finlandia i Turcja. Prezydent odpowiedzialny za zdradę główną.

Estonia. Prezydent odpowiedzialny za zdradę główną i za zbrodnie przeciw najwyższej władzy Państwa.

Łotwa. Konstytucja z r. 1922, zniesiona zamachem stanu z r. 1934, nadawała sejmowi nie tylko prawo odwołania prezydenta, ale także prawo oskarżenia go przed sądem karnym.

Litwa. Prezydent odpowiedzialny na równi z ministrami za przestępstwa, popełnione w wykonywaniu funkcji urzędowych.

Irlandia. Choć republika irlandzka powstała w dwadzieścia lat blisko po Wersalu, powiedzmy dla skompletowania obrazu europejskiego, że jej prezydent może być pociągnięty do odpowiedzialności za „stwierdzone złe zachowanie się”, czyli w bardzo znacznej mierze.

d) W Stanach Zjednoczonych A.P.

Art. II konstytucji federalnej stanowi, że prezydent i wiceprezydent mogą być usunięci z urzędu, jeśli im dowiedziono, że dopuścili się zdrady, sprzedajności lub innych zbrodni i występów. Jest to, rzecz prosta, niezależne od skutków karnych skazania. Nie sądźmy zaś, że to postanowienie konstytucji Stanów Zjednoczonych jest martwą literą. W r. 1868 prezydent Johnson, oskarżony przez Kongres (Izbę Reprezentantów) o „zbrodnie i występki”, stał przed Senatem jako iżba sądowa i jedynie brak jednego głosu do przepisanej większości ocalał go od wyroku skazującego.

Dodajemy, że wszystkie republiki południowo-amerykańskie znają odpowiedzialność Głowy Państwa.

Przegląd powyższy nie pozostawia wątpliwości. W którąkolwiek stronę się obrócić — byle nie w tę, od której odwraca się duch wolności życia ludzkiego — wszędzie obarczono Głowę Państwa republikańskiego jakąś doczesną odpowiedzialnością. Jedynie Konstytucja z r. 1935 umieściła zwierzchnika Państwa Polskiego ponad wszelką odpowiedzialnością, a więc i poza demokratyzmem.

Powrót do demokracji

Jak sprawić, by urząd Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej znalazł się, bez naruszania Konstytucji, z powrotem na płaszczyźnie demokratycznej?

Nie potrzeba wiele suszyć sobie nad tym głowy, bo jest do tego tylko jedna droga — ta, którą wskazał Prezydent Raczkiewicz w przemówieniu radiowym do Kraju, w listopadzie 1939 r., „W ramach Konstytucji kwietniowej postanowiłem te jej przepisy, które uprawniają mnie do samodzielnego działania, wykonywać w ścisłym porozumieniu z Prezesem Rady Ministrów”. Chodził jedynie o wyraźniejsze określenie tego ścisłego porozumienia.

Oczywiście, całe nasze rozumowanie jest

hipotetyczne, to znaczy uzależnione od przesłanki, że chcemy powrotu do demokracji. Kto go nie chce, temu wolno obruszać się na postulat samoograniczenia się Prezydenta. Ale oficjalnie stoimy w polityce na stanowisku przywrócenia demokracji jej praw. Oświadczając to rząd szeregiem razy i jak najbardziej uroczystie. Prezydent Raczkiewicz w pięknym przemówieniu w czwartą rocznicę najazdu niemieckiego powiedział, że „nonsensem byłoby przypuszczać, iż Naród Polski mógłby się wypowiedzieć za innym niż demokratyczny ustrojem”. W tymże dniu naczelny wódz, gen. Sosnkowski, w artykule, umieszczonym w „Daily Telegraph”, pisał o „głębokim przywiązaniu (Polski) do zasad demokratycznych, na których musi się oprzeć gmach przyszłej Europy po klęsce systemów dyktatorskich”.

Sądzę, że tego rodzaju wypowiedzi obowiązują do wyciągania logicznych następstw. Natura demokracji nie znosi próżni po stronie odpowiedzialności wszelkiej rzeczywistej władzy. Konstytucja z r. 1935 taką próżnię stwarza i jej zapewnienie — „w ramach Konstytucji kwietniowej” — możliwe jest jedynie przez dobrowolne niewykorzystywanie przez Prezydenta uprawnień osobistych, przyznanych mu w artykule 13-ym.

Jeśliby Prezydent domagał się od rządu kontrasygnowania tych nawet aktów, które stanowią jego prerogatywę, a więc domagał się, by rząd brał za te akty odpowiedzialność — usunęłoby się to, co jest anathema dla demokracji: nieodpowiedzialność władzy. Co prawda, w tej chwili niepodobna wprowadzić w grę normalnej odpowiedzialności rządu polskiego przed sejmem. Ale rząd ten może być kiedyś w przyszłości odpowiedzialny; podczas gdy Prezydent nie będzie nigdy.

Przeciw temu samoograniczeniu się Prezydenta podniesiono jednak dwa zarzuty, których wartość pragnę rozpatrzyć.

Naprzód, że postępując w ten sposób, Prezydent dawałby przykład nieposzanowania Konstytucji. Następnie, że zobowiązanie się Prezydenta do tego rodzaju umniejszania swej władzy byłoby przywracaniem smutnej pamięci instytucji znanej pod nazwą pacta conventa.

Nieposzanowanie Konstytucji?

Twierdzenie takie opiera się na pomieszaniu dwóch pojęć: 1) uprawnień, udzielonego przez władzę, i 2) obowiązku korzystania z tego uprawnienia. A to przecież dwie zupełnie różne sprawy. Niewykonywanie uprawnień może być dowodem słabości, to prawda. Ale może też być dowodem rozumu. Bądź co bądź zaś, nigdy nie jest przejawem nieposzanowania prawa. Nieposzanowanie można okazać tam tylko, gdzie prawo nakłada obowiązek.

Niezliczone były krytyki, wytykające Prezydentom Rzeczypospolitej Francuskiej, że nie korzystali z uprawnień rozwiązania Izby Deputowanych, które Konstytucja z r. 1875 dawała im wśród pewnych warunków. Ale nikomu nie przychodziło na myśl, zarzucać im z tego powodu nieposzanowania Konstytucji.

Nasza Konstytucja z r. 1921 zobowiązywała Prezydenta do mianowania w czasie wojny naczelnego wodza sił zbrojnych. Konstytucja z r. 1935 zmieniła ten obowiązek w uprawnienie: Prezydent może mianować naczelnego wodza, ale może sam dysponować siłami zbrojnymi, jako ich konstytucyjny zwierzchnik. Za pierwszej Konstytucji Prezydent, zatrzymując przy sobie naczelną dowództwo w czasie wojny, łamałby istotnie Konstytucję. Za drugiej nikt nie mógłby dopatrzeć się w tym nieposzanowania ustawy zasadniczej. Bo od r. 1935 Prezydent może zamianować naczelnego wodza, ale nie musi.

Konstytucja i inne ustawy dają rządowi cały szereg uprawnień, z których korzystanie jest kwestią oportunizmu. Rozum polityczny często polega na tym właśnie, aby z tych uprawnień nie skorzystał. Będzie można rządowi, nie wyżyskującemu uprawnień, zarzucać w razie czego, że błędnie ocenił sytuację, ale nie, że nie uszanował ustawy.

Prawo angielskie pozwala mężowi karcie cięśleśnie żonę, byle w miarę. Jeśli jednak mąż nie korzysta z tego uprawnienia — czy to znaczy, że nie szanuje prawa?

Gdy Mikołaj II ustanawiał instytucję Dumy, ograniczał swoje uprawnienia samodzielnego. Czy kto nazwie to posunięcie cara nieposzanowaniem konstytucji absolutystycznej Rosji?

A cała historia konstytucyjna Anglii? Czymże jest innym ta historia, jak nie stopniowym — bardziej lub mniej dobrowolnym — rezygnowaniem przez koronę z uprawnień, przekazywanych jej przez poprzednie wieki? Rozwój polityczny Anglii polegał na powolnym, ale tak konsekwentnym wydrążaniu jąbka uprawnień królewskich, aż pozostała monarsza w ręku sama tylko łupina. Po dziś dzień król zachował wszystkie uprawnienia, które posiadali jego poprzednicy przed pięciu, sześciu i więcej wiekami. I wedle litery prawa mógłby je wykonywać osobiście! Owóż czy fakt, że w Anglii król korzysta ze swych uprawnień ściśle według wskazań rządu, jest dowodem nieposzanowania konstytucji?

I jeszcze jedno. Konstytucja z r. 1935 mówi, jak wiadomo, o odpowiedzialności Prezydenta Rzeczypospolitej wobec Boga i historii. Jest to sprawa sumienia — sprawa najbardziej własna Prezydentowi. Byłoby impertynencją wtrącanie się do niej. Sądzę jednak, że pisarz polityczny nie przekroczy granic dyskrecji, jeśli wyrazi opinię, że Prezydentowi

— któryby uznawał, że rozwój wydarzeń światowych pcha Polskę ku demokratyzmowi i że w demokratycznym, a nie innym ustroju jest przyszłość Polski — zwycięska historia nie będzie mogła czynić wyrzutów o to, że pomagał jej rozwojowi.

Pacta conventa

Ten zarzut jest czystą demagogią. Ze termin „pacta conventa” nabrał w Polsce, wśród szczególnych warunków, brzydkiego dźwięku, nie znaczy, iżby sama ta instytucja była bezwzględnie złym. Wręcz przeciwnie: zaleca się (ze stanowiska demokratycznego właśnie!) wielu zaletami. Pacta conventa — świecka, publiczna umowa pomiędzy panującym a obywatelami — była przecież zaprzeczeniem teorii o Boskim pochodzeniu władzy, a tym samym zaprzeczeniem pretensji absolutystycznych. Stwierdzały, że władza monarchy nie ma w sobie nic mistycznego, a przeto nieograniczonego, ale że jest nadana wyraźnie przez obywateli i winna być wykonana zgodnie z ich poglądami. W ten sposób pacta conventa wprowadzały ograniczenia nie rządzących, i to ograniczanie elementem demokratycznym, bo wolą rządzących.

Oczywiście, był to demokratyzm swoisty, którego nie należy mierzyć dziesiętymi pojęciami. Dziś łączymy z demokracją pojęcie wielkich mas ludowych. Te jednak w owych czasach nigdzie na świecie nie wchodziły w grę, charakter więc ustroju państwowego i instytucji politycznych danego okresu należy oceniać wedle roli i uprawnień obywatelskich nie całej masy ludowej, ale tych warstw tylko, które doszły do głosu politycznego i występowały czynnie w życiu publicznym. Jeśli przeto w Polsce warstwy te nie pozwalały królom następować sobie na karki, jeśli mu nie pozwalały powoływać się na Boski, od woli poddanych niezależny charakter władzy, ale mu oddawały władzę pod warunkami, krępującymi absolutyzm — to był to przebieg demokracji. Demokracji, na jaką stać było ową epokę.

Inna sprawa, że szlachta polska poszła za daleko w ograniczeniu władzy rządowej. Ze z umowy o zakres władzy królewskiej, którą w istocie swej były pacta conventa, uczyniła narzędzie rozprzeczania administracji państwowej. Do tego jednak doprowadziło dopiero nadużywanie instytucji pacta conventa, a nie okoliczność, że w ogóle taka instytucja istniała w polskim życiu politycznym. Równie dobrze można by potępiać wszelkie inne urządzenie wolnościowe dlatego, że gdzieś, kiedyś przecięgnięto strunę i z gwarancji swobody uczyniono okazję do swawoli.

Spójrzmy znów na historię Anglii, bo odśtania nam ona, czym w istocie swej są pacta conventa. Niewątpliwie tym, co potępiali gentleman agreement Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej z rządem w sprawie wykonywania art. 13 Konstytucji jako nowe a wstrętne pacta conventa, zdarzało się wychwalać angielską Magna Charta z r. 1215 jako podwalinę wolności obywatelskiej na tej szczęśliwej wyspie. Niechże więc uświadomią sobie, że Magna Charta to najtypowsze pacta conventa... Baronowie angielscy, pobijawszy wojska króla Jana Bez Ziemi, zawarli z nim na polu bitwy układ, określający, co królowi wolno robić, a od czego mu wara.

Ba, jeśli krytycy zajrzą do pomnikowego dzieła „The Laws of England” (wydanego pod redakcją dwóch Lordów Kanclerzy — Halsbury'ego i Hailshama), to w tomie VI znajdą na stronie 316 przypisek, stwierdzający, że nie tylko Magna Charta, ale i inne podstawowe akty konstytucji angielskiej, to też jedynie — pacta conventa... Przypisek ten brzmi: „Magna Charta, Petycja Praw z r. 1627, Bill of Rights z r. 1688 i Act of Settlement z r. 1700 bywają zwykle oznaczane jako quasi-ustawy, ponieważ są z natury swej uroczystymi układami („solemn compact”) pomiędzy władzą a ludem”.

Sądzę, że jeśli pacta conventa nie przynoszą wstydliwej historii politycznej Anglii, to nie trzeba tym argumentem wojować przeciw wprowadzaniu wykonywania Konstytucji z r. 1935 na płaszczyznę ducha współczesności.

Rząd na emigracji a opinia polska

Istotnie poważny zarzut przeciw zachwianemu tu sposobowi demokratyzowania art. 13-go Konstytucji jest inny.

Demokratyzm wymaga, by zwierzchnik państwowy stosował się do wskazań rządu, podtrzymywanego przez większość opinii publicznej. W naszych warunkach nie ma możliwości bezwarunkowego upewnienia się, że większość obywateli polskich popiera rząd na emigracji. Mamy wszelkie dane do przypuszczania, że tak jest. Ale stuprocentową pewność mogłoby dać dopiero powszechne głosowanie. To, powiadają krytycy, odbiera wagę postulatowi, by Prezydent nie obywatel się bez kontrasygnaty.

Zarzut ten, biorąc formalnie, jest nie do odparcia. Nie mamy — i póki nie wrócimy do kraju, nie będziemy mieli — całkowitego dowodu, że rząd ma za sobą większość opinii publicznej. To też, jeśli ktoś uważa za dopuszczalne wysuwanie tego rodzaju wątpliwości, ma — na gruncie formalnym, powtarzam — grę łatwą.

Ale zważmy, jaki jest dylemat; albo przyjmujemy, że istniejące na emigracji komitety zagraniczne stronnictw reprezentują politycznie uświadomioną i organizacyjnie okrzepłą opinię polską, jak to kategorycznie stwierdza krajowa deklaracja czterech stronnictw;

albo — albo co? Albo zawiśniemy w próżni, pozbawimy swoje władze państwowe prawa przemawiania w czymkolwiek innym imieniu, jak tylko swoim własnym, uzależnimy wobec tego tak Prezydenta Rzeczypospolitej, jak i rząd całkowicie od uznania obcych, a wewnątrz otworzymy pole do wszelkiego rodzaju eksperymentów z „mężami opatrnościowymi”.

Co stanie się wówczas z naszymi zapowiedziami demokratyzmu? Kto uwierzy, że Polska skończyła z rządami autorytetów, jeśli obecnym władzom swoim odbierzemy podmurówanie stronnictwowe i postawimy je na gołej ziemi kombinacji osobowych? Odmówienie rządowi na emigracji prawa mówienia za większość opinii polskiej — i to mówienia w charakterze uprawnionych reprezentatów tej większości, wiernie odtwarzających jej wolę, a nie tylko w charakterze „elity”, wmaiwiającej w siebie i winnych, że wie lepiej, niż on sam, czego narodowi potrzeba — to odmówienie automatycznie wytrącićoby Polskę z kręgu społeczeństw, które demokracja zachodnia uważa za dorosłe politycznie. Nie potrzeba tłumaczyć, jakie byłyby tego następstwa.

Trzeba jasno zdać sobie sprawę z tego, że nie ma dwóch dróg. Kwestionowanie komitetów zagranicznych naszych stronnictw prawa desygnowania członków rządu i podawanie w wątpliwość, czy rządowi tak utworzonemu mogą służyć prawa, z których korzysta rząd, wychodzący normalnie z ciała parlamentarnego — mogłoby mieć jeden tylko skutek: Polska spadłaby raptownie z wyżyn stanowiska międzynarodowego, na których znajduje się obecnie.

Darmo byłoby przeczyć temu, wskazując na bohaterstwo Polski, na jej straszliwe ofiary i niezłomny opór przeciw pogwałcicielom i twierdząc, że to dostateczne tytuły do zapewnienia Polsce miejsca w pierwszym rzędzie narodów, które stanowiąc będą ład w świecie powojennym. Uznanie mąk i męstwa Polska zdobyła sobie i nikt go jej nie odbierze, póki sumienie odzywało się będzie w ludziach. Ale na nic się nie zda, że ludy będą myśleć o Polsce z liryzmem i może nawet dzieciom opowiadać, jak naród polski pierwszy zaczął ratować honor Europy i jak skrwawił się w jej obronie; na nic się to nie zda, jeśliby równocześnie Polska miała nieopatrznie sama wyrabiać sobie opinie państwa, którego system polityczny leży na uboczu wielkiego szlaku zachodnio-demokratycznej myśli politycznej.

Demokracje zachodnie podniosły na tarczy pewien ideał życia wolnościowego i do tego ideału muszą podciągnąć się narody, które chcą mieć ważki głos w nadchodzącym urządzaniu świata. I nie trzeba chyba tłumaczyć szeroko, że to podstawowy nasz interes państwowy chce, aby demokracje zachodnie nie odstępowały od żądania dostosowania się do tego ideału... Zgą zaiste przysługę wyświadczyćby Polsce, kto by jej nie ostrzegął przed stwarzaniem choćby najbliższych pozorów, że mnoży w świecie pierwiastki rządów nieodpowiedzialnych autorytetów.

A do stwarzania więcej niż pozorów tylko prowadziłoby oderwanie rządu na emigracji od jego obecnej podstawy politycznej i umniejszanie powagi emigracyjnych organizacji stronnictw. Choćby ta podstawa była jedynie hipotezą — nie tykajmy tej hipotezy, bo to jest trąta, która nas trzyma na fali, tak w wewnętrznej polityce, jak w zagranicznej.

Konkluzje

Streścimy tezy, które powoliłem sobie rozwinąć przed czytelnikiem.

1. Ukształtowanie odpowiedzialności władzy jest problemem, czy ma się do czynienia z demokracją, czy z ustrojem autorytetowym. Demokracja nie dopuszcza możliwości władzy, nie podsytej odpowiedzialności, przy czym pomiędzy rozległością władzy a stopniem odpowiedzialności musi zachodzić stosunek wprost proporcjonalny. Dyktatorowie albo otwarcie wyzwała władzę kierowniczą z kontroli, albo dochodzi do tego samego wyniku poprzez kunsztowne założone urządzenia, które zagradzają drogę do urzędowania się odpowiedzialności władzy.

Mamy tu swego rodzaju próbę chemiczną — na baterie dyktatury. Jeśli analiza cichych poglądów politycznych wykazuje istnienie w jakiegokolwiek mierze składników zgody na nieodpowiedzialność władzy, mamy do czynienia z osobnikami, dotkniętym antydemokratyzmem. Oczywiście, nasilenie choroby może być większe lub mniejsze. Osobiście nie lubię jej w najślabszej nawet postaci.

2. Zgodnie z tym demokracja musi domagać się interpretacji ustaw w kierunku ograniczania władzy nieodpowiedzialnej i poddawania jej kontroli, wykonywanej przez reprezentację woli społeczeństwa. Ktokolwiek (choćby w najlepszej nawet intencji, o której brak nie chcę pomawiać w czambuł wszystkich zwolenników dyktatury) pragnie ocalać postanowienia, które stwarzają możliwość swobodnej władzy osobistej; ktokolwiek gani dobrowolne ograniczanie uprawnień do nieodpowiedzialnego postępowania, jaki daje Konstytucja z r. 1935; ten działa na korzyść antydemokratyzmu, a więc sprzecznie z uroczystymi zapowiedziami co do kierunku naszej polityki państwowej.

3. W warunkach, które los zgótował nam w tej wojnie, reprezentacja woli społeczeństwa polskiego nie może powstawać drogą najwłaściwszą. Trzeba zatem uznawać ją w tej po-

(Dokończenie na str. 12).

KAZIMIERZ GRZYBOWSKI

PROWINCJONALIZM, IZOLACJONIZM, POLITYKA

I

Geografia jest bardzo ważnym czynnikiem w kształtowaniu się myśli ludzkiej, wpływa na opinie grup społecznych czy jednostek. Pan aptekarz czy „mecenas“ z Kopyczynie nie będzie miał nigdy tego samego poglądu na sprawę, co jego koleś z Warszawy, choćby nawet miał w domu radio, znał języki i czytywał prasę zagraniczną. Tak to już jest, że prowincja pozostaje prowincją, ciasny horyzont i klimat spraw małego środowiska formuje odpowiednio mózgi.

Przeciwstawieniem prowincjonalizmu jest opinia, którą można by nazwać międzynarodową. Trudno właściwie istnienie jej ustalić, brak bowiem było dotychczas niezależnego od wpływów narodowych środowiska, w którym mogłaby się wytworzyć. Z przekąsem mówiono o duchu Genewy. Zda się, że opinię międzynarodową i pewien na niej oparty pogląd na świat reprezentowały społeczeństwa zachodnie, w których wolność prasy pozwalała na swobodne kształtowanie zdania.

Prowincjonalizm posiada swoje dobre strony. W społeczeństwach zachodnio-europejskich prowincja razem z konserwatywnym sposobem myślenia, odrzucaniem snobistycznych ambicji, jakie stwarza wielkoświatowe środowisko, stanowi niejednokrotnie bardzo dodatni czynnik w życiu społecznym i państwowym.

Prowincjonalizm cechuje nieufność w stosunku do świata zewnętrznego, pewien kompleks niższości, czasami znowu nieuzasadnione przekonanie, że nie można się niczego od obcych nauczyć.

Gdy prowincjonalizm opanuje wszystkie dziedziny życia narodowego, staje się chorobą, i to niebezpieczną. Okresem takiej choroby były u nas czasy saskie.

Myśl polska tkwiła wówczas w grubym prowincjonalizmie. Wyobrażano sobie, że istniejący stan rzeczy może być kontynuowany bez względu na to, co się dzieje poza granicami państwa. Odcięto życie duchowe Polski od przewrotu, który rodził się na Zachodzie. Szczególnie nieuczta, ograniczonego horyzontu, niechęć szukania odpowiedzi na dręczące pytania, które stawiała rzeczywistość, zaczęła umysł. Prowincjonalizm taki jest niezmiennie szkodliwy, chyba że odgrywa rolę przeszkody, której przesadzenie i rozwalenie nadaje taki impet nowym ideom, że przynoszą postęp pełniejszy i dokładniejszy niż powolne i systematyczne przeorywanie opinii publicznej.

Obraz czasów saskich i stan umysłów w tej epoce dostarcza najwięcej elementów dla ustalenia, na czym prowincjonalizm polega. Zasadą się on na tym, że ludzie czy grupy społeczne tworzą sobie opinie, nie znając istotnych faktów, potrzebnych dla oceny sytuacji.

Prowincjonalizm staje się niebezpiecznym wówczas, gdy wychodzi ze swego środowiska i swój stosunek do spraw tego świata oraz idee przenosi na forum, gdzie powinno się myśleć inaczej. Szczególnie jest on niebezpieczny, gdy prowincjonalne horyzonty mają ludzie odpowiedzialni za stosunki z szerokim światem. Czasami prowadzenie polityki, opartej na ograniczonych horyzontach, jest możliwe i potrzebne. Czasami warunki, w jakich społeczeństwa żyją, zmuszają je do takiej polityki. Ale nawet wówczas na forum międzynarodowym występują ludzie, którzy są w stanie porozumieć się ze swoimi partnerami. W czasach Kongresu Wiedeńskiego, gdy w pełni obowiązywało „Splendid isolation“ Anglii, Castlereagh reprezentował Anglię, gdyż rozumiał Europę i jej problemy.

II

Stan umysłów, przypominający czasy saskie, jest jednak już dzisiaj wyjątkiem. Wynalazki i techniczne ulepszenie komunikacji są najważniejszymi bojkownikami łączności i porozumienia między poszczególnymi społeczeństwami. Normalnie, zwłaszcza w państwach demokratycznych, gdzie wolność prasy w dużej mierze przyczynia się do rozpowszechniania wiadomości, obrazujących stosunki na całym świecie, oprócz szerokiego mas, nie interesujących się całokształtem życia, istnieje silna grupa ludzi poinformowanych. Zdają oni sobie sprawę z tego, jak dalece pojedyncze zjawiska są związane ze sprawami świata.

Jak długo pomiędzy tymi dwoma tendencjami jest zachowana zdrowa równowaga, tak długo wszystko jest w porządku. Prowincjonalizm w polityce międzynarodowej wynika czasem z hipnozy, wywołanej układem sił. To, co dzisiaj dominuje, uważa się za czynnik niezmienny, nie licząc się z tym, że pogwałcone prawa i przekreślone egzystencje narodowe powrócą prędzej czy później do życia.

W roku 1914, gdy zarysowały się ramy konfliktu zbrojnego, te dwie tendencje przeciwstawiły się sobie bardzo ostro. Jedną z nich, szerszą, reprezentował minister spraw zagranicznych Anglii, Sir Edward Grey, który usiłował doprowadzić do konferencji międzynarodowej dla załatwienia sporu. Z drugiej strony mocarstwa centralne dążyły do izolacji konfliktu początkowo do Serbii i Austrii, a następnie do Rosji i Serbii z jednej strony, a Austrii i Niemiec z drugiej.

Po wojnie światowej metoda izolacji, wynikająca z prowincjonalizmu założeń polityki międzynarodowej, wraca do głosu. Oskarżenie pod adresem okresu, dzielącego dwie wojny światowe, można by ująć w ten sposób, że małoduszność mężów stanu, odpowiedzialnych

za losy polityki międzynarodowej, oraz obalamucenie opinii publicznej złe pojęciem pacyfizmem powodowały, że konflikty międzynarodowe takie, jak wypadki mandżurskie, sprawy abisyńska, Shanghaj, zostały zlokalizowane i odizolowane od sprawy pokoju świata. Powstała tragiczna sprzeczność między duchem wojny światowej, który zmobilizował państwa pokojowe przeciw gwałcicielom prawa, a pojmowaniem roli instytucji międzynarodowej, która z ducha współpracy zbrojnej dla utrzymania pokoju wynika. Schorzenie systemu międzynarodowego polegało na tym, że mechanizm zbrojnej reakcji przeciwko naruszeniu pokoju został pojęty jako system uniknięcia wojny za wszelką cenę.

Szczytem metody lokalizacji i izolacji było Monachium. W toku wojny hitlerowskie Niemcy po każdej niemal wygranej kampanii proponowały Wielkiej Brytanii ograniczenie konfliktu do stron, które właśnie pokonały.

III

O ile w latach dwudziestych tego stulecia wierzone szczerze w siłę i wartość współpracy państw dla ochrony prawa, to później wiara ta osłabła. W rezultacie nawet dziś, po pierwszej i w toku drugiej wojny światowej, świadomość ścisłego powiązania ze sobą sprawy bezpieczeństwa i pokoju wszystkich państw świata nie jest powszechna. Czytając książkę Waltera Lippmana o polityce zagranicznej Stanów Zjednoczonych, widzi się, jak wiele trzeba tam zrobić pod tym względem. Jak nieśmiało próbuje autor teorii doskonałej, jakkolwiek nie pozbawionej błędów, pracy, wskazać pośrednio, że pokój w Europie jest także w interesie Stanów.

Stan ten został wywołany specyficznymi przyczynami. Nadużywano języka i instytucji Ligi Narodów dla prowadzenia polityki, która bardzo często szła wbrew interesom integralnego pokoju. Brak zaufania pomiędzy państwami, który dziś wyrządza takie krzywdy i szkody sprawie pokoju świata, datuje się z okresu, kiedy w Lidze Narodów przepierano interesy partykularne.

Tymczasem zaś współzależność poszczególnych państw jest oczywista. Stany Zjednoczone, mimo całej swojej potęgi, nie są w stanie znieść naporu Japonii i Niemiec, działających razem. Dla utrzymania swej pozycji muszą porozumieć się z Wielką Brytanią, a na Dalekim Wschodzie z Chinami. Być może, że nie groziłaby Stanom bezpośrednia inwazja, ale napewno nie potrafiłyby, izolowane od Wielkiej Brytanii, ochronić swoich interesów, którym zawdzięczają swoją mocarstwową pozycję.

Podobna jest sytuacja Wielkiej Brytanii, która ma życiowy interes w tym, by Europa nie została opuszczona przez jedno państwo, by w tej gromadzie narodów był ktoś, koby popierał jej koncepcję pokoju i stosunków międzynarodowych. Zjednoczona i opuszczona przez jedno państwo Europa stanowiłaby śmiertelne dla W. Brytanii zagrożenie.

Żadne państwo na świecie nie jest w stanie stworzyć takiej potęgi wojskowej i gospodarczej, by samodzielnie na stałe wszystkie swoje interesy i prawa zabezpieczyć. Siła i znaczenie państw nie są wielkościami stałymi. Rozwój techniki, który raz jednemu, drugi raz drugiemu narodowi daje do ręki broń, umożliwiającą czasową przewagę, rozwój marynarki, lotnictwa, nowych metod walki, nowe bogactwa naturalne i oparte na nich gałęzie przemysłu, słowem cały rozwój cywilizacji i kultury uniemożliwia permanentną przewagę jednego narodu. Czynniki te działają, zwłaszcza w ostatnich czasach, coraz szybciej i coraz radykalniej w związku z przyspieszeniem tempa życia w ogóle. Niemniej jednak jesteśmy świadkami, że wytyczne polityki nie biorą pod uwagę zaszłych zmian. Typowym przykładem niezrozumienia ducha czasu była polityka Niemiec. Zahipnotyzowane skutkami, jakie w ich wewnętrznym życiu wywołały wojny od napoleońskich poprzez duńską, austriacką, a wreszcie francuską, przywiązały zbyt wielkie znaczenie do stanowiska międzynarodowego, które im zwycięstwa w tych wojnach dały. Dążyły do demonstrowania siły, uważając wojnę za najważniejszy wektor stosunków między państwami. Pokojowość brały za objaw słabości, a nie mając koncepcji świata i swojej w nim roli, dążyły do umocnienia swego stanowiska przez gwałcenie cudzych praw. Stąd każdy sukces dawał podniecie do dalszych nadużyć.

Podobnie postępował Napoleon, który mając sukcesy i siłę, szedł od zwycięstwa do zwycięstwa, nie mając koncepcji Europy. Polityka ograniczonych horyzontów, o prowincjonalnych koncepcjach, w siłę, w jej działaniu widzi istotny cel. Stąd też ideałem dla niej jest taki stan rzeczy, któryby dawał państwu wyłączną decyzję w wojnie i pokoju. W dzisiejszych stosunkach jest to nieosiągalne marzenie. Rzeczywistość mówi co innego. Każde państwo może wywołać wojnę, ale nie jest w stanie przewidzieć, kiedy i jakim pokojem się ona skończy. Zbyt wiele czynników wchodzi w grę, by je nawet można było przewidzieć.

Najrealniejszą metodą osiągania celów politycznych jest zwracanie ich z interesem możliwie szerokim państw, popierających sprawę pokoju i wejście w ten sposób w ramy stabilizacyjnych sił świata. Dzisiaj bardzo potrzebne i silne państwa potrzebują pomocy. Wielka Brytania związała się w tym celu sojuszymi. W Stanach Zjednoczonych najświet-

lejsze umysły usiłują przełamać narodową niechęć społeczeństwa do wiązania się przymierzem z państwami poza kontynentem amerykańskim. Siła państwa, to nie tylko własna armia, przemysł, ale rola w systemie politycznym, który interesuje wszystkie mocarstwa świata. To udział w realizacji wspólnych celów, zamiarów i ideałów. Siła państwa, to rezultat nie tylko uczciwej i solidnej, dalekowzrocznej polityki społecznej i gospodarczej, ale także rozsądnej polityki międzynarodowej. Napewno nie jest wynikiem nierozumnych rozważań i teorii, opierających się na popłatanych i spreparowanych faktach historycznych.

IV

Politykę współpracy międzynarodowej często przeciwstawia się polityce, popierającej interesy. Powtarza się opinie, że koncepcje i idee międzynarodowe są sprzeczne z zadaniami i ambicjami poszczególnych państw.

Istnieją rzeczywiście filozofie i teorie, uwzględniające w swych programach cele ponadnarodowe, opierające się na przewidywaniu, że przyjdzie moment, w którym narody jako twory biologiczne znikną, a powstaną szersze organizacje społeczne. W obecnym jednak momencie nie nie wskazuje na to, żeby istniały szanse do zrealizowania tych programów. Najlepszym choćby sprawdzianem jest to, że walcząc z obozem hitlerowskim, walczymy nie z koncepcją narodu, ale z niezdrową i nierozumną teorią rasową, z kryteriami, sprzecznymi ze zdrowym rozsądkiem. Obserwacje stosunków choćby w Rosji Sowieckiej, wzrost nacjonalizmu rosyjskiego w tym państwie, które staje się coraz bardziej narzędziem największego spośród narodów Związku, dostarcza jeszcze jednego dowodu na to, że nie możemy przewidywać, przynajmniej na długi okres czasu, zniknięcia narodów, jako czynników w polityce światowej. Jeżeli więc polityka, którą nazwalibyśmy polityką współpracy międzynarodowej, miała się opierać na pominięciu tego czynnika, nie mogłaby to być polityka realna. Nie można stworzyć innych interesów, jak realne potrzeby poszczególnych narodów, wchodzących w skład społeczności międzynarodowej, której cele są nieczym innym, jak zbiorowym interesem państw.

Przytoczono poprzednio przykład wzajemnej współzależności między Wielką Brytanią a Kontynentem Europejskim, między Stanami Zjednoczonymi a Wielką Brytanią. W ten sposób można by przedstawiać i rozwijać współzależność wszystkich państw świata. Uzmysłowmy sobie np. sytuację Francji, Chin, Polski, Czechosłowacji, Węgier. Przypomnijmy sobie historię roku 1939 i 1940, gdy różne państwa padły ofiarą niezrozumienia, że ich los jest ściśle związany z naszym, ofiarą śmiesznego i niezrozumiałego egoizmu i braku odwagi. Przypomnijmy sobie przykład Belgii, która swoim zachowaniem się w r. 1940 i w latach poprzednich powodowała, że w krytycznym momencie armie angielska i francuska biły się z Niemcami na terytorium belgijskim tak, jak gdyby znajdowały się w kraju najechanym. Całokształt tych powiązań i stosunków, wynikający z interesów i potrzeb życiowych poszczególnych państw, układa się w jednolity obraz polityczny i ideowy, który niesłusznie się interesom poszczególnych narodów i państw przeciwstawia. Tymczasem rzeczywistość jest inna. Interes międzynarodowy jest interesem każdego poszczególnego narodu. Postanowienia Karty Atlantycznej, polityka zabezpieczenia przed przyszłą wojną, polityka niezależności Europy od jakiegokolwiek sfery wpływów jest polityką polską tak samo, jak polityką innych narodów. Mówienie o jakiejś specyficznej polityce narodowej wydaje się bardziej grą słów, a nie zawiera istotnej różnicy w rzeczy samej.

V

Wybuch wojny jest dowodem na to, że istniejący system polityczny nie wytrzymał próby życia i wyzwołał siły, których nie potrafił utrzymać w ryzach. Z tego punktu widzenia odpowiedzialność za wojnę spoczywa na tych wszystkich, którzy, pragnąc utrzymania pokoju, nie zdobyli się na zdecydowaną akcję w jego obronie. O ile można było w r. 1939 wyliczyć mocarstwa, które miały ograniczony zasięg interesów i ograniczoną możliwość działania, to jednak istniały obok tego wielkie państwa, które posiadają wszechświatowe interesy i odpowiedzialność.

Abstrakcyjność systemu, stworzonego pokojem wersalskim, powodowała, że zbyt łatwo w umysłach polityków i kierowników państw oddzielał się on od realnych spraw, które państwa reprezentowały. Większość członków Ligi istotnie chciała utrzymania pokoju, stosowania prawa i sprawiedliwości. Tak samo tylko bardzo nieliczna grupa państw nie chciała współpracy międzynarodowej na polu gospodarczym. Nawet najbardziej izolacjonistyczne nastroje nie chciały wybuchu wojny, zdając sobie sprawę z tego, że nie będą w stanie utrzymać neutralności. Nawet Stanom Zjednoczonym nie była obojętna wojna w Europie. Zdawano sobie sprawę z tego, że w praktyce nie ma wojny, której skutki mogłyby być ograniczone do jakiegoś rejonu, że jeżeli nie ta, to następna ugodzi w ich życiowe interesy. Bardzo charakterystyczne jest, że dzisiaj, gdy zarysowują się już możliwości ukończenia wojny w Europie, istnieje pewnego rodzaju wyścig do stołu konferencji pokojowej, przy którym zostaną ustalone nie tylko

stosunki między stronami wojującymi. Warunki współżycia, stworzone nowym systemem politycznym, z natury rzeczy muszą wciągnąć w swą orbitę inne państwa.

Jeżeli dziś myślimy o przyszłości świata i o nowym układzie politycznym, to istnieją jedynie dwie możliwości. Jedną z nich, to zasadnicze założenia, z których wyrósł idea Ligi Narodów. Bardzo charakterystyczne pod tym względem było przemówienie Cordella Hulla w Kongresie, gdy zdawał sprawę z konferencji w Moskwie. Zdaniem jego Stany Zjednoczone będą mogły decydować o swoich sprawach przy współpracy z innymi państwami. Kamieniem węgielnym przyszłej organizacji świata będzie „organizacja międzynarodowa, oparta na zasadzie suwerennej równości wszystkich wolności miłujących narodów, małych czy wielkich“. Wyłączną alternatywą tego planu jest podział świata na sfery wpływów i rządy silnej ręki, takiej czy innej kombinacji mocarstw. Naturalnie aż do momentu, gdy taka czy inna sprzeczność interesów w łonie tych mocarstw wywoła nową wojnę.

Z tego punktu widzenia nawet ten system, w którym żyliśmy do roku 1939, był korzystniejszy od tej drugiej możliwości sfer wpływów. Mogliśmy bowiem powiedzieć „nie“ na pewne propozycje i mogliśmy zbrojnie wystąpić w obronie naszych praw. W systemie sfer wpływów tej szansy mieć nie będziemy.

W polityce, czy wewnętrznej czy międzynarodowej, ludzie łatwo ulegają sugestii gry. Jest ona tym łatwiejsza i tym efektywniejsza, im bardziej traci się z oczu zasadniczy cel polityki. Demonstracje siły, pozaczynanie platformy polityki wielostronnej dla jakichś formalnych korzyści, rozbijają możliwość współpracy na szerszej arenie, zaciemniają i usuwają na drugi plan interes ogólny. Polityka fochów w stosunku do wspólnego celu jest łatwiejszą od polityki kooperacji.

Jakkolwiek będzie wyglądał system polityczny Europy i świata po wojnie, to jeżeli zapanuje idea współpracy, poczucie odpowiedzialności za utrzymanie układu międzynarodowego musi dominować u reprezentantów wszystkich państw. Tak samo bowiem, jak nie sposób ograniczyć przestrzennie i czasowo rozmiarów wojny, nie sposób ograniczyć odpowiedzialności za niefunkcjonowanie systemu. Mieć on będzie dla życia każdego z przyszłych twórców państwowych takie samo znaczenie, jak posiadanie silnej armii.

Układy i umowy między państwami są tym silniejsze, są tym wartościowsze, im większe jest między nimi porozumienie nie tylko co do spraw aktualnej polityki, ale i co do podstawowych jej założeń. Współpraca między państwami może istnieć wówczas nawet bez formalnego układu. Do pewnego stopnia przykładem na to były stosunki między Wielką Brytanią a Stanami Zjednoczonymi w pierwszej i drugiej wojnie światowej. A Walter Lippman w swej książce cofa je aż do daty 1823 roku, w którym została ogłoszona deklaracja Monroe. Wbrew temu, co się na ogół sądzi, istota organizacji międzynarodowej polega na tym, że jest ona aliansem, zawartym dla zapobieżenia wojnie. W konsekwencji jest porozumieniem, zawartym na czas wojny i na jej wypadek. Jeżeli ten alians ma działać w tak krytycznym momencie, trzeba go wzmacniać w czasie pokoju przez podbudowywanie wzajemnego zrozumienia, przez popieranie wspólnych interesów.

Jeżeli popatrzymy realnie na stosunki międzynarodowe, to musimy przyjąć za zasadnicze założenie, że pokojowi grozi stale wojna. Zawsze istnieje więcej danych na to, że pokój zostanie zakończony, niż że nadszedł wreszcie okres, w którym konflikty interesów nie doprowadzą do jeszcze jednego przelewu krwi. Ten wzgląd nie pozwala na prowadzenie polityki krótkowzrocznej, od sukcesu do sukcesu. Wojna jest wielkim rachunkiem, wystawianym przez historię za politykę, prowadzoną w czasie pokoju. Łatwo jest iść samemu i nie liczyć się z opinią możliwych sprzymierzeńców w chwili krytycznej. Trudniej jest związać ich ze swoim losem tak, by w obronie naszych praw widzieli swój interes.

VI

Trudno już dziś wytyczyć drogi polskiej polityki międzynarodowej. Nie może nią być jednak polityka izolacjonizmu. Wiele razy w toku obecnej wojny usiłowano bezskutecznie wyodrębnić, odizolować sprawę Polski z całokształtu spraw, związanych z pokojem świata. Dzięki wielu okolicznościom stała się ona sprawdzianem tego, jaka jest wartość i znaczenie hasła, o które teraz walczymy.

Zarysowują się już dziś czynniki, które będą odgrywały pierwszorzędną rolę w świecie, gdy działania wojenne przestaną odgrywać rolę. Zarysowują się przed nami perspektywy porozumienia dwóch mocarstw anglosaskich, którego znaczenie wzrośnie w skutek gospodarczego wyniszczenia Europy i Azji. Zniszczenie Niemiec i osłabienie ich znaczenia politycznego może przyczynić się do usunięcia poczucia niebezpieczeństwa wewnątrz Europy. Może to stworzyć nowe możliwości porozumienia wewnątrz naszego kontynentu, rozdzielanego dotychczas odśrodkowymi ambicjami. Zjednoczona Europa, pozostająca w stałym porozumieniu z wielkimi mocarstwami, które kulturę swą ze wspólnych z nią źródeł czerpały, może stworzyć zupełnie nowe warunki i podstawy dla przyszłej naszej pracy na rzecz pokoju.

WŁODZIMIERZ BRATKOWSKI

ODBUDOWA GOSPODARCZA POLSKI^{*)}

Wśród problemów, które staną przed każdym rządem po wojnie, jednym z najważniejszych i najtrudniejszych do rozwiązania będzie kontrolowanie popytu. Wojna oznacza dla wszystkich kategorii konsumentów wyrzeczenie się zaspokojenia niektórych potrzeb. Dochody pieniężne są w czasie wojny zawsze wyższe niż w okresie pokojowym, jest to wynikiem większego nakładu pracy i normalnie wyższych płac. Przy ustabilizowanych cenach pozostają więc niewydane marże dochodów, z których część tylko można uchwycić przez opodatkowanie, część kieruje się ku papierom lokacyjnym, zwłaszcza różnego rodzaju pożyczkom wojennym, a reszta pozostaje niewydana, albo jako płynna rezerwa gotówkowa, albo, co zresztą na jedno wychodzi, jako rezerwa na koncie bankowym. Płynne rezerwy pieniądza gotówkowego i bankowego są utajoną inflacją, która zwykle nie pojawia się jako czynna siła nabywcza w czasie wojny, która może jednak zwiększyć popyt na towary i spowodować katastrofę inflacyjną bez dodatkowej emisji pieniężnej, z chwilą gdy zniknie dyscyplina wojenna społeczeństwa. Obok tych rezerw konsumentów istnieją jeszcze nieużyte rezerwy przedsiębiorstw, które przez cały czas wojny nie mogą mieć silne działanie inflacyjne. Inflacyjna zwyczajna cen musi być tym większa, że podaż towarów konsumpcyjnej cywilnej i urządzeń produkcyjnych dla przemysłu może wzrastać tylko stopniowo, w miarę przestawiania się przemysłu zbrojeniowego.

Opanowanie tego żywiołowego popytu na towary jest więc koniecznością. Ilustruje to przebieg wydarzeń po pierwszej wojnie światowej, kiedy najgroźniejsze inflacje pojawiły się dopiero po ustaniu działań wojennych.

Cele ohamowania popytu mogą być dwójakie. Albo będzie to tylko danie czasu przemysłowi na przedstawienie się na produkcję pokojową, a wtedy wystarczy krótkotrwała kontrola, albo też celem tym jest przeprowadzenie odbudowy zniszczeń lub zasadniczego zainwestowania kraju, a w tym wypadku okres kontroli się wydłuża i przez cały ten czas system gospodarczy musi zachować centralne kierownictwo, jak w czasie wojny. Centralne kierownictwo czy planowanie życia gospodarczego ma w odróżnieniu od okresów wojennych za cel skierowanie wszystkich zasobów w kraju ku odbudowie zniszczonych obiektów, zwiększeniu inwestycji i t.d. Już dziś możemy się z dużą pewnością spodziewać, że we wszystkich prawie krajach wojennych okres przejściowy będzie miał taki właśnie charakter planowej odbudowy, a nasz kraj będzie szczególnie potrzebował takiego procesu.

Trudno dziś przewidzieć, jakie będą możliwości spontanicznej inflacji w Polsce. Wiemy, że płynność pieniężna na terenach, włączonych do Rzeszy, jest znaczna i że podobnie jak w samej Rzeszy zwiększona ilość pieniądza nie ma wpływu na poziom cen, rezerwy gotówkowe osób i przedsiębiorstw muszą więc być znaczne. Generalne Gubernatorstwo wykazywało przez dłuższy czas ciasnotę gotówkową i przedsiębiorstwa nie miały tam nawet najkonieczniejszych rezerw, wydaje się jednak, że ostаточно emisyjne i tu się zwiększały, a samo zbliżenie się frontu i zwiększenie ilości wojsk stacjonujących musi tę inflację automatycznie powiększać. Zapotrzebowanie na towary konsumpcyjne będzie w Polsce ogromne. Okupacja trwa u nas dłużej niż w jakimkolwiek innym kraju, a ograniczenia przydziału towarów konsumpcyjnej cywilnej są także większe niż gdzie indziej. Spontaniczny, inflacyjny wzrost popytu mógłby więc u nas spowodować zaburzenia, których leczenie mogłoby być znacznie bardziej dotkliwe niż regulowanie powojennego popytu na towary możliwie szybko.

Zachodzi tu pewna pozorna sprzeczność. Zasadą podstawową polityki gospodarczej w okresie przejściowym miała być ekspansja i wysoka koniunktura zbytu, ostatnie zaś rozwiązania prowadzą nas ku konieczności hamowania wzrostu konsumpcji, i to przez dłuższy czas. Sprzeczność jest jednak tylko pozorna. Wysoka koniunktura oznacza wysoką całkowitą wartość zbytu zarówno towarów konsumowanych, jak i przeznaczonych do zwiększenia zdolności produkcyjnej przemysłu i rolnictwa. W sumie zbytu pozycja inwestycji powinna wzrastać silnie, przyrost zaś pozycji spożycia należy hamować z braku zdolności produkowania tych towarów. Zwiększyć się ona może tylko w miarę wzrostu zdolności produkcyjnej. Ogólna wartość produkcji powinna więc wzrastać nawet i w tak wyjątkowo trudnych warunkach, w którychby nie można było zupełnie zwiększyć spożycia.

Przy obliczaniu tej części dochodu społecznego, którą po wojnie można będzie przeznaczyć na inwestycje, nie możemy zupełnie oprzeć się na danych o dochodzie społecznym i jego podziale sprzed obecnej wojny. Przyjęcie za podstawę rozumowania takiej analogii z okresem przedwojennym, prowadzić

musi do zbytniego pesymizmu. Takim pesymizmem grzeszą przewidywania dra L. Barańskiego „Uwagi o planie gospodarczym Polski” (Ekonomista Polski Nr. 5, 1943). U podstawy jego obliczenia leży założenie, że dawną kwotę inwestycji można będzie osiągnąć dopiero wtedy, gdy dochód społeczny wróci do przedwojennego poziomu. I tu wydaje mi się, że obniżenie dochodu społecznego w Polsce nie jest tak znaczne, jak się przypuszcza. O ile zliczymy cały dochód produkowany, t. j. to, co rządy okupacyjne zabierają dla swoich celów, i to, co pozostaje ludności, to okaże się, że w Generalnym Gubernatorstwie suma ta prawdopodobnie spadła z powodu przymusowego cofnięcia w rozwoju gospodarczym (odprzemysłowienia), natomiast na ziemiach, włączonych do Rzeszy, ogólna wartość produkcji mogła nawet dość poważnie wzrosnąć, a łączna suma dla tych obszarów może okazać się niewiele mniejsza niż przed wojną. W warunkach, które będą panować po tej wojnie, zdolność produkcyjna, pozostała na ziemiach polskich, pozwoli nam prawdopodobnie na wyprodukowanie dochodu nieco mniejszego niż w ostatnim okresie przed wojną, jednak skład tego dochodu musi być zupełnie odmienny. Prawdziwym problemem będzie właśnie to, że będziemy mieli do dyspozycji nieproporcjonalnie wysoką zdolność produkowania dóbr inwestycyjnych po przestawieniu przemysłu zbrojeniowego na produkcję pokojową. Nasza zdolność inwestowania będzie więc nieproporcjonalnie wysoka w stosunku do naszej możliwości produkcji towarów konsumpcyjnych. Możliwe będzie zbywanie zagranicą części naszej produkcji żelaza i stali w zamian za import brakujących nam towarów włókienniczych, obuwia i t.d. Musimy jednak z góry liczyć się z tym, że ulokowanie tych nadwyżek nie będzie łatwe. Rynki tych towarów będą opanowane przez przemysł ciężki amerykański i brytyjski, z którymi nie łatwo będzie konkurować. W sytuacji powojennej trudno będzie wymagać od naszego przemysłu żelaznego więcej niż takiego eksportu, któryby zapłacił potrzebny import surowców metalowych.

Trudności zbytu, które powstaną, będą typowe dla każdego okresu powojennego, pamiętamy je z pierwszych lat po wojnie 1914-1918 i obecnie wydaje się, że stoi przed nami następująca alternatywa: albo zdołamy umieścić na rynku wewnętrznym znacznie większą ilość produktów przemysłu inwestycyjnego niż przed obecną wojną, albo przemysł ten, silnie rozbudowany w toku wojny, będzie musiał zmniejszyć swój zbył i zdolność wytwórczą. Pierwsza z tych możliwości, t. j. znalezienie wewnętrznego rynku zbytu, może udać się tylko wtedy, gdy tempo odbudowy przemysłów, pracujących dla potrzeb konsumenta, będzie bardzo silne, a to pociąga za sobą konieczność inwestowania znacznie większej części naszego dochodu społecznego niż przed r. 1939. W warunkach polskich nie możemy i po tej wojnie liczyć na to, aby oszczędności dobrowolne wynosiły więcej niż 7,5% dochodu społecznego nawet po powrocie tego dochodu do poziomu przedwojennego. Nasz dochód społeczny, przeliczony na głowę ludności, był niski i kwota 7,5% była dość normalna. Dr. Barański ma słusność, twierdząc, że odsetek dochodu, dobrowolnie inwestowanego, będzie z konieczności niższy przy mniejszym dochodzie, nie wiadomo tylko, czy spadek wyniesie aż 50% tej kwoty. Jedynym sposobem, rozwiązującym dwa równocześnie problemy, — problem zbytu przemysłu inwestycyjnego i problem odbudowy, — jest uzupełnienie oszczędności dobrowolnych przymusowymi. Głównym zadaniem polityki gospodarczej państwa po wojnie powinno być skierowanie odpowiednio wysokiej części dochodu wszystkich warstw społecznych ku lokatom — oszczędności drobnym w formie wkładów lub papierów, zaś oszczędności większych i rezerw przedsiębiorstw w formie bezpośrednich inwestycji w przemysł.

Instrumentem takiej przymusowej oszczędności społecznej jest w czasie wojny finansowe i ilościowe regulowanie popytu na towary i narzędzie to trzeba będzie koniecznie zachować na cały okres odbudowy. Regulowanie ilościowe popytu, t. j. racjonowanie, powinno wprost uniemożliwić wydanie całego dochodu na konsumpcję, a utrzymanie racjonowania po wojnie będzie koniecznością tak długi, dopóki nie zniknie głód towarów konsumpcyjnych. Racjonowanie powinno uwzględniać to, że stopniowo coraz większe ilości towarów pojawiać się będą na rynku i że wartość dochodów wypłacanych będzie także wzrastać w miarę coraz silniejszego uruchomienia przemysłu. Gdybyśmy nie stali wobec całego problemu odbudowy i gdybyśmy zastali nasz przemysł przetwórczy w pełnej zdolności produkcyjnej, to cały okres przejściowy do momentu zniknięcia głodu towarów trwałby tylko kilka miesięcy — tak było w krajach wojujących i nie zniszczonych po pierwszej wojnie światowej. Na ziemiach polskich po obecnej wojnie głód towarów będzie zjawiskiem znacznie dłużej trwającym, i to już uzasadnia konieczność utrzymania racjonowania. Będzie ono konieczne dla zahamowania inflacyjnego popytu, dla rozdzielenia niewystarczających ilości towarów na rynku według pewnego klucza,

nie opartego wyłącznie na sile kupna danego konsumenta. Racjonowanie ma jednak, jak wspomnieliśmy, także i inny cel. Ma ono zmniejszyć ogólny popyt na towary konsumpcyjne i skierować część dochodu konsumentów ku oszczędnościom. O ile uda się nam w pełni uruchomić przemysł inwestycyjny, to dochody, wypłacane przez ten przemysł, będą znacznie przewyższać wartość towarów konsumpcyjnych i racjonowanie ma właśnie uniemożliwić osobom, pobierającym te dochody, ich konsumpcyjne wydatkowanie. Z tą dysproporcją ogólnej sumy dochodów wypłacanych i ogólnej wartości towarów konsumpcyjnych musimy się liczyć przy pełnym uruchomieniu przemysłu. Istnieć ona będzie tak długo, póki po pierwsze przemysł inwestycyjny nie przestawi się w pełni na produkcję pokojową i nie uzupełni w tym kierunku swoich urządzeń produkcyjnych, i po drugie, póki przemysł ten nie odbuduje w pełni swymi dostawami maszyn zdolności produkcyjnych przemysłów przetwórczych. W sumie może być to okres dość długi, może paroletni. Samo ilościowe regulowanie popytu nie może w tym okresie wystarczać, musi mu towarzyszyć nacisk na konsumentów, aby swoje niewydane nadwyżki dochodów lokowali w ten sposób, aby mogły się przyczynić finansowo do odbudowy kraju. Sumy w ten sposób zaoszczędzone i ułożone będą musiały być „zamrożone” tak długo, póki ilość towarów na rynku będzie mniejsza od sumy dochodów. Po okresie odbudowy właściciel oszczędności będzie mógł nimi swobodnie dysponować i wydać je czy to na zwiększenie swojej konsumpcji, czy np. na budowę domu i t. p.

Wynika z tego dość jasno, że w początkowych latach po wojnie stosunek inwestycji do całego dochodu społecznego będzie podyktowany wyłącznie stosunkiem zdolności produkcyjnego przemysłu inwestycyjnego do sumy produkcji. Inwestycje i oszczędności będą więc musiały być bardzo duże w stosunku do całości dochodu społecznego i udział inwestycji w całkowitym dochodzie społecznym produkowanym będzie mógł spadać w miarę, jak zwiększać się będzie produkcja towarów konsumpcyjnych i cały dochód społeczny.

Takie radykalne zmiany w strukturze dochodu społecznego wymagają gospodarki kierowanej i stawiają kierownictwu gospodarczemu bardzo wysokie wymagania tak fachowe, ekonomiczne, jak i polityczne. Tylko administracja fachowo przygotowana potrafi planować drobiazgowo spożycie i inwestycje, wtrącać się do budżetu konsumenta i określać sumy, przymusowo oszczędzane. Skuteczne przeprowadzenie takiego planowania wymaga także w wysokim stopniu zaufania społeczeństwa do administracji i od tego zaufania może zależeć udanie się całej akcji. Nawet najuczciwsza i najbardziej fachowa administracja nie zrobi tu nic, gdy zaufania tego brakuje. O tym, że takie ogólne planowanie w sferze społeczeństwa jest możliwe, przekonują nas doświadczenia obecnej wojny, które wskazują, że przy kierowanej gospodarce społeczeństwa mogą zadowolić się konsumowaniem nawet mniej niż połowy swego dochodu (konsumpcja wynosiła w Wielkiej Brytanii w r. 1942 tylko 44% dochodu produkowanego, zaś w Stanach Zjednoczonych tylko 52% dochodu). Tak silne ograniczenia dochodu możliwe są, oczywiście, tylko w społeczeństwach, w których całkowity dochód produkowany jest bardzo wysoki i nawet tak silnie ograniczona konsumpcja zaspokaja najpilniejsze potrzeby. Nie byłoby to chyba możliwe w krajach, których cały dochód społeczny jest znacznie niższy. Z drugiej strony wydaje mi się, że przedwojenna kwota 7,5% oszczędności przy dochodzie społecznym 16 miliardów złotych nie jest chyba nieprzekraczalną granicą, zwłaszcza w zupełnie zmienionych warunkach i przy stosowaniu zasad kierowania gospodarką społeczną.

Warto jeszcze krótko rozważyć, jak wyglądałaby sytuacja bez takiej świadomej akcji planowania lub w razie jej nieudania się. Przemysł ciężki, pracujący dziś intensywnie dla celów wojennych niemieckich, zacząłby po utraceniu tego rynku zbytu produkować urządzenia inwestycyjne w granicach tych sum, które przy naszym dochodzie społecznym byłyby zaoszczędzone i zainwestowane dobrowolnie. Pierwszym oczywistym skutkiem byłoby bezrobocie, bo okazałoby się, że przemysł ten jest rozbudowany ponad potrzeby zubożającego społeczeństwa. Tempo wzrostu bezrobocia w zagłębiach ciężkiego przemysłu musiałoby być silniejsze niż proces ożywienia w okęgach przemysłu konsumpcyjnego. Per saldo byłaby to więc depresja, spychająca poziom produkcji i zatrudnienia coraz niżej, a stabilizacja nastąpiłaby dopiero wtedy, gdy cały dochód społeczny zrównałby się z produkcją towarów konsumpcyjnych plus taką produkcją dóbr inwestycyjnych, któryby przy tym dochodzie społecznym odpowiadała sumom zaoszczędzonym. Poziom dochodu i zatrudnienia spadłby u nas szczególnie nisko, bo nasza zdolność wytwarzania towarów konsumpcyjnych jest bardzo silnie zmniejszona przez wojnę. W takich okolicznościach dochód społeczny wypłacany równałby się wartości produkowanych towarów, o ileby się udało ściągnąć z rynku rezer-

wy kasowe, pochodzące z inflacji wojennej. W takim wypadku problemy racjonowania nie zaistniałyby w ogóle. Można by powiedzieć, że byłyby one rozwiązane przed zaistnieniem przez deflację dochodów, któryby uniemożliwiła drożyznę i spekulację towarową. Obraz, zarysowany tu, nie jest zbyt różowy. Zbyt ludzko przypomina on w swoich zasadniczych liniach okres kryzysu po r. 1929, a napewno można już dziś przewidzieć, że kryzys taki byłby jeszcze cięższy. Przeciwno takiej polityce odbudowy w atmosferze deflacji przemawiają wszystkie nasze doświadczenia przedwojennego kryzysu. Pewnym złagodzeniem sytuacji mogłoby być pożyczki o bardzo długich terminach, udzielane w ramach akcji pomocy, ale i to tylko na pierwszy krótki okres.

Wszystkie doświadczenia, zarówno okresu przedwojennego, jak i toczące się wojny, przemawiają za gospodarką kierowaną. Zamierza ją stosować po wojnie Wielka Brytania jako metodę nie tylko odbudowy zniszczonych wojennych, ale i zwiększenia zdolności produkcyjnej swego przemysłu i jego modernizacji. Nasze problemy odbudowy będą znacznie trudniejsze i lekkomyślne byłoby pozostawianie ich na los „swobodnej gry sił”.

Główną tezę artykułu o konieczności przymusowego oszczędzania zilustrować można łatwo cyframi.

Strukturę naszego dochodu społecznego przed wojną charakteryzują najlepiej następujące cyfry:

Produkcja na spożycie	14,8 miliardów zł. (92,5%)
Produkcja na inwest.	1,2 miliardów zł. (7,5%)
Ogółem dochód prod.	16 miliardów zł. (100%)

Ogólna zdolność produkcyjna po wojnie będzie obniżona, przyjmijmy, że tylko do 14 miliardów zł. Struktura zdolności produkcyjnej będzie jednak radykalnie zmieniona i należy się liczyć z takim rozbudowaniem produkcji wojennej, że ogólny jej udział w dochodzie społecznym wyniesie 20% całej produkcji. Przyjmujemy dalej, że całą tę zdolność produkcyjną przemysłu wojennego można będzie zużyć dla zainwestowania kraju. Możliwości produkcyjne przedstawiałyby się wtedy następująco:

Produkcja na spożycie	11,2 miliarda zł. (80%)
Produkcja na inwest.	2,8 miliarda zł. (20%)
Ogółem	14 miliardów zł. (100%)

Obok tego jednak zajdą i inne zmiany. Dobrowolne oszczędności przy konsumpcji 11,2 miliardów zł. na jaką pozwalałaby dostępna zdolność produkcyjna, nie wyniosłyby sumy 2,8 miliardów zł., potrzebnych do sfinansowania inwestycji, ale sumę znacznie mniejszą. Przyjmijmy, że przy tak zmniejszonym poziomie spożycia i przy ciągłym odczuwanych zaległościach spożycia z lat wojny ogólna kwota dobrowolnie oszczędzona wyniesie 5% całego dochodu społecznego. Przy dochodzie społecznym 14 miliardów zł. mieliśmy więc dobrowolnie oszczędzić w sumie 0,7 miliard. zł., resztę t. j. 13,3 miliardów zł. staralaby się ludność wydać konsumpcyjnie. Równocześnie jednak wartość produkcji na cele konsumpcyjne nie mogłaby wynosić więcej niż 11,2 miliardów zł. (przy stałych cenach) Popyt pieniężny na towary konsumpcyjne przewyższałby więc ich podaż o 2,1 miliardów zł. i to z konieczności musiałyby doprowadzić do inflacyjnego wzrostu cen. Z drugiej strony popyt na dobra inwestycyjne byłby niewystarczający, bo na 2,8 miliardów zł. wartości produkcji dóbr inwestycyjnych mieliśmy tylko 0,7 miliarda zł. oszczędności. Prowadziłoby to do niemożności zbycia całej produkcji dóbr inwestycyjnych. Równowaga mogłaby się ustalić tylko przy następującym bilansie produkcji:

Produkcja na spożycie	11,2 miliardów zł. (95%)
Produkcja na inwest.	0,6 miliarda zł. (5%)
Ogółem dochód społ.	11,8 miliardów zł. (100%)

Taki byłby dochód społeczny, gdyby inwestycje finansowane były wyłącznie oszczędnościami dobrowolnymi.

Pełne wyzyskanie możliwości produkcyjnych może więc nastąpić tylko wtedy, gdy cała zdolność produkcyjna przemysłu inwestycyjnego jest w pełni wykorzystana. Aby się to stało, oszczędności muszą równać się możliwościom inwestycyjnym, t. j. muszą wynosić 20% ogólnego dochodu społecznego wypłacanego. Ponieważ tak duże oszczędności dobrowolne są niemożliwe, jedynym wyjściem stają się oszczędności przymusowe, ściągalby one z rynku te nadwyżki siły kupna, której nie odpowiada podaż dóbr konsumpcyjnych tak, aby pieniądź nie mógł działać inflacyjnie na ceny. Dalejszą funkcją przymusowego oszczędzania musi być oddanie tych sum do dyspozycji firm, które je wydadą na zakup maszyn i urządzeń. Forma oszczędności zwrotnych po określonym czasie wydaje się najwłaściwszą, sumy postawione do dyspozycji inwestorom nie są wtedy podarunkiem, na ich rzecz uzyskanym przez opodatkowanie całego społeczeństwa. Przymusowe oszczędzanie nie polega bynajmniej na ograniczeniu ogólnej konsumpcji społeczeństwa, ta jest bowiem ograniczona wielkością zdolności produkcyjnej (w naszym przykładzie wynosi 11,2 miliardów zł.), prawdziwy sens przymusowego oszczędzania polega na zwiększeniu produkcji dóbr inwestycyjnych przy równoczesnym utrzymaniu konsumpcji na niezmienionym poziomie. Tempo odbudowy i rozwoju gospodarczego Polski byłoby przy stosowaniu tej metody znacznie szybsze niż w okresie przedwojennym, kiedy oszczędności wynosiły tylko 7,5% dochodu społecznego.

Przykład omówiony tu jest uproszczeniem. Nie przedstawia komplikacji, wynikających z konieczności finansowania importu surowców. Cyfry użyte są czysto przykładowo, ilustrują one jednak dobrze kierunek i charakter przemian, zaszytych w toku wojny.

*) Dokończenie artykułu zamieszczonego nr. nr. 19 i 21 „W Drodze”.

SZYMON ASKENAZY

Międzynarodowość sprawy polskiej

Artykuł drukowany po raz pierwszy w łonańskim „Moniteur Polonais” z grudnia 1916 r., potem przedrukowany w „Uwagach” (Warszawa, 1921).

Odkąd Polska niepodległa przestała istnieć, istnieje międzynarodowa sprawa polska. Międzynarodowość tej sprawy charakter, doniosłość, żywotność, mówią same za siebie. Los narodu polskiego, jednego z siedmiu czy ośmiu najstarszych, najwybitniejszych i najkulturalniejszych członków wielkiej rodziny europejskiej, obchodzi bezpośrednio całą tę rodzinę i wbrew niej rozstrzygnięciem być nie może.

Niepodległość Polski, zarówno jak Francji, Anglii, Włoch, Niemiec lub Rosji, jest najpierwotniejszym jej prawem przyrodzonym. Jest też kardynalnym warunkiem istnienia niepodległości każdego z tych narodów i bezpieczeństwa wzajemnych ich stosunków.

Zapewne, — tak brzmi zazwyczaj wykręt na to odpowiedź ze strony obojętnej lub wrożej dla Polski, — to są prawa oczywiste w teorii. W praktyce jednak siła okoliczności nie dopuszcza takiego bezwzględnego stawiania i rozstrzygania sprawy polskiej jako czysto międzynarodowej. W szczególności zaś nie dopuszcza tego siła wyższa przymusowych wymagań militarno-politycznych toczącej się wojny. Obiedwie strony walczące, rządy koalicyjne czy też środki, od początku wojny jednakowo tym oportunistycznym posługiwały się wykrętem. Różnią się tylko jego zastosowaniem, bądź na rzecz rachuby rosyjskiej, bądź austro-niemieckiej, lecz zawsze na zgnębienie polskiego prawa i europejskiego dobra.

Jest to nie dzisiejszy dopiero, lecz bardzo stary i bardzo nędzny wykręt rozbiorców Polski. Onego czasu, przed stu dwudziestu laty, o czynie dokonany trzeciego rozbioru zawiadomili oni świat w wyrazach następujących: „Przymus okoliczności (la nécessité des circonstances) spowodował trzy dwory do zajęcia się pospołu zniweczeniem Polski: należy uznać w tym objaw ich troskliwości o spokój Europy (l'effet de leur sollicitude pour la tranquillité de l'Europe)”. Wiadomo, co warcie były te „okoliczności” i ten „spokój”. Za podziałem Polski poszły natychmiast czterdzielate wojny powszechne Rewolucji i Cesarstwa. Podobnie i w następnych okresach zamiast rzekomego „uspokojenia” świata kosztem ofiary Polski, wprost przeciwnie, właśnie skutkiem rosnących dalszych ekspansyjnych dążeń jej rozbiorców, zwłaszcza Rosji i Prus, wynikały przesilenia europejskie, coraz inne i groźniejsze, aż do tego, które obecnie nurza we krwi ziemię całą.

Zawsze polityka interesowna i obłędna tłumaczyła czynny zły i niedorzeczny, a tłumia zamierzenia dobre i mądre, przez pretekst „okoliczności”. Ten sam fałszywy oportunizm, który w XVIII w. miał oślonić zabójstwo Polski, ma w w. XX przeszkodzić jej odrodzeniu.

Ktokolwiek w obozie Porozumienia, nazajutrz po wybuchu wojny, żądał uznania sprawy polskiej za międzynarodową i wyciągnięcia stąd nieodwołalnych wniosków praktycznych, ten niechybnie narażał się na podejrzenie, że pragnie pokłócić między sobą aliantów, a mianowicie zrazić Rosję, popchnąć ją do pokoju odrębnego i rzucić w objęcia Niemiec. Z drugiej znowu strony, ktokolwiek występował z takim żądaniem w obozie mocarstw środkowych, ten niezawodnie narażał się na podejrzenie, iż chce pokłócić między sobą sprzymierzonych cesarzów Niemiec i Austro-Węgier, popchnąć jednego z nich do pokoju odrębnego i rzucić w objęcia Rosji. Chciwość obu przeciwników wyzyskuje podobne podejrzenia, strach je potęguje, słabość im ulega.

W miarę jak istotna słabość Europy odślaniała się coraz dobitniej w pierwszym okresie trwania wojny wszechświatowej, Rosja coraz bezwzględniej starała się ujmować sprawę polską jako czysto wewnętrzną rosyjską. Na tym stanowisku zeszli się najgłodniej w gruncie, pomimo pozorych skąd inąd odchyleni, naczelnicy rządu rosyjskiego, pp. Goremykin i Stürmer, wszyscy ministrowie rosyjscy, nie wyłączając rzekomego Polski przyjaciela, p. Sazonowa. Zeszli się wszystkie rosyjskie stronnictwa rządowe, prawica i narodowcy ortodoksyjni, wreszcie cały blok opozycyjny sześciu stronnictw, stanowiących niedawno większość Dumy, narodowców-secesjonistów, centrowców, ziemców, październikowców, postępowców i konstytucyjnych demokratów (kadetów). Ci ostatni, pod taktycznym i doktrynerskim kierunkiem pp. Miłukowa, Struwego i inn., przeniknięci są może najgłębiej i najwszechstronniej tym arcyrosyjskim, „wewnętrznym” pojęciem i ujęciem sprawy polskiej.

Jednocześnie w Niemczech podniesione zostało do godności uświęconego dogmatu narodowego nieprzejednane stanowisko Prus względem całości sprawy polskiej, zwięzanej pod kątem widzenia wielkopolskiego jej odłamem i traktowanej też z zasady jako wewnętrzna sprawa państwa pruskiego. Kanclerz Bethmann-Hollweg, jeśliby nawet miał skłonność, to na pewno nie miał dość siły do szerszego zerwania z tym dogmatem. Na tym stanowisku zeszli się najgłodniej, pomimo pozorych skąd inąd różnic, wszyscy ministrowie pruscy, wszyscy lub prawie wszyscy wodzowie wojskowi niemieccy. Zeszli się wszystkie wielkie stronnictwa niemieckie, cała prawica, narodowo-liberalni, większość centrum katolickie-

go, większość postępowców, z paroma tylko wyjątkami południowo-niemieckimi, nawet większość socjalistów rządowych i półrządowych niemieckich.

Podobnie rzecz się ma i w monarchii habsburskiej, która sama jedna wśród rozbiorców zajęła byłą od pół wieku stosunkowo przychylniejsze dla Polaków stanowisko. I tutaj, z chwilą rozpoczęcia kroków wojennych, nastąpił zwrot wsteczny. Był on raz po razie obostrzany i pogłębiany, ze strony pewnych kierowniczych czynników politycznych i wojskowych, pod hasłem traktowania sprawy polskiej z punktu widzenia jak najcięższej, jak najwyłącznie austro-węgierskiego. Zeszli się na tym punkcie najgłodniej, pomimo pozorych skąd inąd odmian, zarówno naczelni ministrowie, pp. Stürgkh, Burian, Tisza, jako też naczelne dowództwo armii. Zeszli się wpływowo, choć parlamentarnie nieczynnie, stronnictwa rządowe obu połów monarchii.

Co więcej, w podobnym ujęciu rzeczy uznawanym bywa najprostsze, najoczywistsze prawo patriotyczne każdego dobrego Rosjanina, Niemca, Austriaka. Jak gdyby szło tu o własne zagrożenie rosyjskie, niemieckie, austriackie, a nie polskie i europejskie.

To też całe to zasadnicze troiste spalenie sprawy polskiej jako nie międzynarodowej, lecz „wewnętrznej”, rosyjskiej, niemieckiej czy austriackiej, musiało wpłynąć pacyfem na całą linię polityczną działań i zarządzeń polityczno-wojskowych, podejmowanych w Polsce i względem Polski przez strony wojujące. Tu tkwi główne źródło haniebnej gospodarki okupacyjnej rosyjskiej w Galicji i ewakuacyjnej w Królestwie Polskim i na Litwie. Tu jest klucz marnych i zawodnych przyrzeczeń i projektów ministerialnych czy kadeckich rosyjskich o t. zw. autonomii polskiej. Tu znow, z drugiej strony, spoczywa zaród opłakanej nędzy organizacyjnej, narzuconej legionom polskim przez czynniki wiedeńskie, haniebnej gospodarki ewakuacyjnej w Galicji oraz okupacyjnej niemieckiej w Królestwie Polskim i na Litwie. Tu również jest sekret kuszych i złudnych zapowiedzi i oświadczeń austro-niemieckich o t. zw. samodzielności polskiej.

ALEKSANDER JANTA

DROGA NAPRZÓD

Słowa starte oszustwem do ostatniej nitki, przez które oddech mroku dmie i ciągnie mroź, skręcają się na pustce. Wypłowiwałe zwiłki wspomnień, pełnych popiołu, rozsypanych w gruz.

Długo nas będą zwodzić. Miłosne zabytki dawnych naszych uniesień i umarłych muz, lży niedowypłakania, tęsknot niedobitki wrpżone w całą przeszłość. Senny, ciężki wóz.

INWOKACJA

Wojno niebudzka i wielka, wróc nas do słów miłosnych, do utraconej urody życia i ukochania, naucz rozumieć i cenić szczęśliwość rzeczy prostych na tle kruchego trwania.

Iżemy byli próg twój — obrony tragicz-nym gestem, oszczędź nam w przyszłej oddali męczeństwa dartych na części i poszarpanych przemocą, co trwają tylko protestem piersi i pięści.

II
W tym wszystkim przy bliższym wejrzeniu rozeznac można po prostu zacieklą wyjątkowość starej spółki trójrozbiorniczej. W XVIII stuleciu Rosja, Austria i Prusy uczyniły z rozbiorów Polski sprawę wewnętrzną, w obrębie tej trójki zamkniętą, wyjętą z kompetencji reszty Europy. Alisci ta zazdrośnie strzeżona przez rozbiorców fikcja została niebawem obalona, faktycznie i prawnie, przez stworzenie Księstwa Warszawskiego i Królestwa Kongresowego z wybitnym udziałem czynnym Francji i Anglii w początku XIX stulecia.

Obecnie, w początku XX, sama spółka trójpodziałowa została nareszcie zerwana dzięki wojnie wszechświatowej. Jednak stare tradycje tej spółki przetrwały do dziś dnia, a nawet poniekąd występują jeszcze bezwzględnie i wyłącznie niż kiedykolwiek. Dziś, w Austrii, rozpatrywana bywa Galicja przede wszystkim jako niezbędny, świeży właśnie z pożytkiem wypróbowany, wał ochronny wewnętrznych dzielnic monarchii. W Niemczech rozważany bywa Królestwo Polskie jako bezpański zbiornik terytorialny, skąd wykroić należy dogodnie zaokrąglenie wschodniej granicy wojskowej pruskiej, zaś Litwa — jako dogodny teren i rynek odbiorczy i kolonizacyjny, dokąd skierować należy nadmiar ludności niemieckiej. Rosja, z wciąż nienasyconą, pomimo doznanych ciosów, chciwością zaborczą, nie przestaje dążyć do „odboju Galiczyzny”, trwając oczywiście bezwarunkowo przy postanowieniu odebrania Królestwa Polskiego i Litwy.

Otóż sto lat temu, w dobie wyprawy napoleońskiej do Moskwy, Austria w zamian za pewne odszkodowania na Bałkanach była gotowa do cesji całej Galicji w ręce Napoleona I, celem złączenia jej ze skonfederowanym w Warszawie Królestwem Polskim. Tak samo, w parę lat później, w dobie Kongresu Wiedeńskiego, Prusy w zamian za pewne odszkodowania w Saksonii miałyby zgodzić się na cesję całego Poznańskiego w ręce Aleksandra I, celem złączenia go z nowopowstałym w Warszawie Królestwem Kongresowym. Wresz-

cie Rosja nawet, w osobie tegoż cesarza Aleksandra, w tym smym okresie, w przede dniu wyprawy moskiewskiej i jeszcze nazajutrz po kongresie wiedeńskim, myślała o cesji na rzecz Polski wszystkich prawie zabranych b. Rzplitej t. zw. gubernii wschodnich z granicą Dźwiny, Berezyny i Dniepru.

Odtąd, w ciągu minionego stulecia, ustaliła się w Europie dążność do pon'żenia, zlekceważenia, skurczenia sprawy polskiej. Dzisiaj obiecuje się Polakom zapłatę za dokonaną posłuszenie, gładko, bez tarcia, mobilizację polską, lub też zadatek na poczet rozporządzalnego jeszcze rekruta polskiego. Ofiaruje się im nagrodę, albo grozi karą, stosownie do dobrego lub złego ich sprawowania się. Zaś postępuje się tak nie tylko w Piotrogradzie, Berlinie czy Wiedniu, lecz również i w Paryżu, Londynie czy Rzymie. Otóż przed stuleciem było bądź co bądź inaczej. Pomimo całej ówczesnej dla Napoleona nienawiści nie poczytano przecie za zbrodnię Polakom, iż pod jego walczyli orłami i z jego rak' wzięli niepodległość. Polskim swoim spod Borodina i Lipska przeciwnikom oddawał Aleksander Polskę wraz z wojskiem i sejmem polskim. Oddawał, nie darował, gdyż szło tu wszak nie o łaskę, lecz o nieprzedawnione prawo narodowe Polski, a międzynarodowe Europy.

Stosunek Europy na kongresie wiedeńskim do sprawy polskiej, jeśli pod niejednym względem wiele pozostawiał do życzenia, to jednak nosił na ogół nierównie bardziej niż obecnie cechę skroś międzynarodową. Zabezpieczono wówczas nie tylko los zdobytej na Napoleonie części Polski, większości Księstwa Warszawskiego, lecz udzielono zarazem poręk narodowych i gospodarczych wszystkich przedpodziałowej „dawnej Polsce (ancienue Pologne)”. Ze odpowiednie uchwały polskie Kongresu Wiedeńskiego były niedostateczne i wkrótce zostały pogwałcone, to inna sprawa. Bądź co bądź zrodziły się one z czysto międzynarodowej koncepcji zagadnienia polskiego. A jednak stanowisko ówczesne Rosji wśród koalicji było nieskonieczne wydatniejsze, niż obecne. Rosja sama jedna oparła się na Napoleonie. Zdobyła na nim sama jedna całą prawie Polskę, od Mińska i Wilna aż do Krakowa i Gdańska. Dawało jej to wyjątkowe tytuły nabywcze. Tym samym zaś zwiększało groźbę odrębnego pokoju między nią a Napoleonem. Mimo to wszakże sprawa polska została podówczas traktowana i rozwiązana bynajmniej nie jako wewnętrzna rosyjska, ani nawet jako wewnętrzna trójrozbiornicza, lecz jako wszechuropejska, międzynarodowa. Dziś front wschodni, t. j. polski, jest w ściślejszej zależności od dywersji na frontach francuskim, włoskim, bałkańskim. Co więcej, jest on broniony przez Rosjan, wspomaganych przez sztabowców, inżynierów, instruktorów, pieniądze, broń, ludzi i rzeczowy materiał wojenny francuski, angielski, japoński, nawet belgijski, przeciw Niemcom i Austro-Węgrom, wspomagany przez Turków i Bułgarów. Ta międzynarodowość militarna na ziemi polskiej wykazuje dobitnie i wyobraża naocznie rdzenną międzynarodowość polityczną sprawy polskiej.

Ale Europa dzisiejsza nie chce tego widzieć. Woli ona nie widzieć siebie w Polsce, ani Polski w Europie. Nie chciała dotychczas zastosować tego moralno-politycznego ciśnienia, jakie mogłaby i winnaby wyrzeźić, bezpośrednio czy pośrednio, na wszystkich trójrozbiornicach, tak samo na Rosji, jak na Austrii, w duchu prawidłowego sprawy polskiej rozstrzygnięcia. Nie potrafiła dotychczas wnieść się pod tym względem nawet do poziomu polityki polskiej Kongresu Wiedeńskiego. A przecież nie była ona bynajmniej żadnym wzniosłym, niedościgłym wzorem. Ci, co ową przedstuletnią robili politykę, mieli tę tylko skromną zasługę, iż nie byli jedynie płatnymi urzędnikami, lecz też nieco męzami stanu. Nie byli oni zresztą ani wielcy, ani szlachetni; nie byli zgoła na wysokości ówczesnej przełomowej chwili dziejowej, ani swych europejskich dla sprawy polskiej obowiązków. To też swym połowicznym jej rozwiązaniem ciężką wtedy wyrządzili krzywdę zarówno Polsce, jak i Europie. Czyliż dzisiaj jeszcze gorzej stać się miało? Czyliż poziom rozumu stanu i sumienia międzynarodowego, w osobie pp. Brianda, Greya i towarzyszy, miałyby okazać się niżej poziomu Talleyrandów i Castlereagów?

Długie odtąd upłynęło stulecie, w którym ogromnie naprzód posunęła się ludzkość, zrzućcy odwieczne jarzmo Włochy i Grecja, wyzwolone zostały nawet znikome półdzikich ludów ułomki. A Polska, która, pomimo straszliwych swych przepraw, trzykrotnie odtąd pomnożyła swą siłę ludnościową, stokrotnie duchową i gospodarczą, sama jednak pozostała w niewoli i dziś, wlejąc na inny niewolona sposób, grzęźnie w nowej topieli krwi, łez, męki śmiertelnej. Zaś sama Europa, okrwawiona, zbiedzona, czyliż terazniejsze wielkie swe nieszczęście, w pewnej przynajmniej mierze, właśnie owej nieskończonej polskiej nie zawdzięcza niewoli? Jeśli tego pojąć i wyznać dzisiejsza nie zechce Europa, jeśli znowu, w tym kataklizmie światowym, zechce zdusić przenikliwy głos Polski, jeśli i tym jeszcze razem ją opuści, — straci owoce bezprzykładnych swych wysiłków i cierpień, wyda wyrok na samą siebie, stanie się winną zdrady względem siebie samej, swej przyszłości i swego powołania międzynarodowego.

NOWOŚĆ!

NAKŁADEM WYDAWNICTWA W „DRODZE” UKAŻE SIĘ W NAJBLIŻSZYM CZASIE KSIĄŻKA ZBIOROWA, OPRACOWANA STARANIEM POLSKIEGO P. E. N. KLUBU W LONDYNIE

P. T.

WIELKA BRYTANIA KRAJ-USTRÓJ-LUDZIE

Cena: 300 milsów

Krytyka dla zamożnych

Do szablonów, rządzących do dziś dnia w naszej krytyce artystycznej, a pochodzących od zwycięzcy dziennikarskiego z pierwszych dziesiątek XX w., należy fałszywa proporcja między recenzją literacką a recenzją teatralną, następnie zaś — między recenzją teatralną a filmową. Im szersze masy ogarnia swym zasięgiem sztuka, tym mniej interesuje się nią krytyka, tym bardziej dzieło sztuki wydane jest na oceny niefachowe, przypadkowe, albo poprostu żrące.

Szantujący się dziennik, nawet i w miesiące prowincjonalnym, nie obszedł się bez recenzji teatralnej. W Warszawie do sprawozdań teatralnych zapraszało najtęższe pióra literackie: Grzymała-Siedlecki, Wierzyński, Boy-Zeleński, J. N. Miller, Mostowicz, Filochowski — oto najważniejsi, i stokroć łatwiej było zamieścić w stołecznym dzienniku ocenę książki głośnego autora, niż przedostać się do zamkniętego klanu recenzentów teatralnych.

Wytorowały to dla teatru przywilej rozgłosu ponad książki. Bilety teatralne i kontakt z kulami były na rynku znanych redakcyjnych cenione znacznie więcej, niż rozciętých egzemplarzy recenzyjnych. W skutku — poważne dzieło czekało miesiącami na ocenę publicystów, a byle farsidek miało niejako już w chwilach narodzin zakontraktowane rozważania Grzymały i obrazoburczy felieton Boya. Nawiasem mówiąc, zaledwie niektóre z tych felietonów, wychodzących spod doborowych piór, były istotnymi recenzjami ze spraw teatru — nawet świetne felietony teatralne Boya sięgały raczej w dziedzinę polemik i pamfletów, niż analizy sztuki scenicznego. Kompromitacja jakiegosi Pietrasileńskiego na scenie dawała mu przede wszystkim sposobność do skompromitowania kilku żywych Pietrasileńskich, do rozprawienia się z biurokracją TKKT, do ataku na repertuar, na współczesną literaturę dramatyczną.

Wziętość i znaczenie wrażeń z teatru miały źródło w znacznym stopniu w przebrzmiających stosunkach społecznych. Recenzja teatralna stała kiedyś też obok sprawozdań z balów, rautów i przyjęć. Zygmunt Wasilewski, jeden z najwybitniejszych krytyków dwudziestolecia Polski Niepodległej, rozpoczął swą karierę literacką od opisywania w lwowskim „Słowie” fraków i pantofli galicyjskich hrabiaków. Teatr zaś poprzez sztukę doskonale żęczył się ze sfery arystokratycznej i magnackiej. Dzięki temu publiczność była równie ciekawa wiadomości o urodzie i roli aktorów, jak i o tym, że księżna X wyjechała do wód w Truskawku. Pierwsze recenzje z widowisk były na całym świecie najpierw poświęcone publiczności, a później dopiero scenie. Najważniejsza była nie rola sceniczna, lecz rola w życiu: nie kto i co grał, ale kto się patrzył, w jakiej łóż siedział i jak się ubrał. Od owego salonowego stylu zaczynał się rozwój także i polskiej krytyki teatralnej, by — zatoczywszy łuk — w okresie obecnej emigracji, wrócić na Ziemi Świętej do tej samej świętej walności postacie, jako najpierw do strażnika w pierwszym rzędzie dygnitarza, finansującego bieżące przedstawienie, a potem dopiero aktora.

Nie można nawet porównywać społecznego zasięgu teatru i książki, a jednak mimo to w walce o miejsce, odbywającej się w każ. dym dzienniku i czasopiśmie, teatr stał odpychał literaturę od drukarskiej kaszy. I chociaż książka służyła najszerszym masom, chociaż procent tanich teatrów robotniczych był w Polsce znikomy — szablon stopniowania znaczenia krytyki wynosił teatr nad wiele rzeczy, schlebając gustom zamożniejszych warstw wielkiego miasta.

Ocena filmu

Gdy taki był stosunek do książki, cóż do. piero mówić o stosunku do sztuki najszerzej i najłatwiej przynikającej społeczeństwu — do filmu. Wprawdzie w Berlinie było nie tylko samochodów więcej niż w całej Polsce, bo i kin także), ale mimo to kino wywarło w Polsce najszerzy wpływ na upodobania artystyczne — i nie tylko artystyczne — szerokiej masy widzów. Niestety, film polski obsadzony był — w znakomitej większości — przez ludzi nieodpowiedzialnych zarówno artystycznie, jak i finansowo; państwo na znaczeniu propagandowym filmu spostrzegło się rychło w czas, bo na kilka miesięcy przed wojną, a i wtedy ówczesny minister spraw woj-skowych interesował się więcej obsadą ról kobiecych, niż treścią propagandy.

Sprawozdania filmowe znajdowały się w dziennikach na szarym kołcu, preparowane przez takich recenzentów, jak np. sławetny Schummer-Szermentowski, który po wejściu Niemców do Warszawy szybko odnalazł krew-niaków w Rzeszy. To też i jego oceny były od-powiednie. Dożądać się jeszcze do tego i wpy-tywać ogłoszeń, które brały na swój żółd admini-stracje czowowych dzienników, tak że nawet i pisma narodowe akwaplwie wychwały filmy „Studio”, poza którym stała berlińska wytwórnia „Ufa”.

Demaskowanie tego było w Polsce przez długi czas niemożliwe. Jedne rzetelne recenzje filmowe, podpisywane przez Stefanie Zahorską, ukazywały się sporadycznie w „Wiadomościach Literackich”. Dopiero założenie Związku Dziennikarzy i Publicystów Filmowych, wśród którego członków znaleźli się m. in. Irykowiński, Kołczyca, Toeplitz, Zahor-ska i niżej podpisany, pchnęło sprawę naprzód. Trzy poważne czasopisma poczęły zamieszczać recenzje filmowe i artykuły o filmie, niezależnie od wszelkich pobocznych względów koteryjnych, rasowych czy pieniężnych, mia-nowicie: „Kronika” (Warszawa), poznańska

„Kultura” i wydawane przez St. Piaseckiego „Prosto z Mostu”. W ślad za tym jeden z naj-poważniejszych polskich miesięczników — „Przegląd Powszechny”, w którym i teatrze pisali kolejno: H. Sienkiewicz, Wł. Reymont, Grzymała-Siedlecki — wprowadził obszerny, kilkunastostronnicowy dział, poświęcony spo-łecznej i artystycznej analizie filmu. Najpięk-niejszym rezultatem ruchu, tak pomyślnie rozwijającego się w ostatnich latach prze-wojennej Polski, było wprowadzenie zagad-nień filmowych do seminarium estetyki na Uniwersytecie Warszawskim (prof. Wł. Ta. tarkiewicz) i powołanie przez Min. W.R. i O.P. komisji szkolnictwa filmowego. Gdyby nie wybuch wojny, rok 1939/40 przyniósłby nam powstanie Państwowego Instytutu Sztuki Fil-mowej, z prawami wyższej uczelni, na wzór Państwowego Instytutu Sztuki Teatralnej.

Film na wojnie

Wrześień szybko położył temu kres. Pa-mietaj, jak przez pionągę Lublin pędził auto z tasną filmową dla wojska i z ewakuo-wanym z Warszawy sprzętem filmowym. Póź-niejsze bomby kolejno rozbijały nam samocho-dy, reszty dokonał brak benzyny. Ekipa fil-mowa rozproszyła się: Cękalski trafił do An-glii, Szołowski zmarł, Waszyński i Lipiński pracują dla wojska na Środkowym Wschodzie, najlepsi z polskich reżyserów (dużego metra) — Lejtes, mimo wielu zapewnień i projektów, dotąd tkwi niewykorzystany w Tel-Awivie, choć od dawna powinienby w Ameryce robić film o Polsce podziemnej i ob-rońie ghett'a. Najlepiej udało się Gantkowski-mu. Przedsiębiorczy, Romuald dotarł do Sta-ndów i zrealizował film „Kraj mojej matki” według scenariusza Ewy Curie i Lechonia.

Film polski nieomal zaniknął. Ale film światowy, mimo ograniczeń technicznych, wy-wolanych wojną, nie ustał w postępie. Wojna przyniosła dwa znakomite obrazy kolorowe: „Krew na piasku” i „Przemienio z wiatrem”. Wojna wprowadziła w dużo szersze mierze niż przedtem na rynek światowy nowy do-mniósł czynnik — film sowiecki, wojna pod-niosła do wysokiego poziomu artystycznego film propagandowy — „In Which We Serve”, „Mrs. Miniver”, „Pied Piper”, „The Moon Is Down”, dając także obrazy tej klasy, co „Wa-terloo Bridge”, „Adam Had Four Sons”, „Kitty Foyle”, „Lady Hamilton”, „Sea-Wolf”, „How Green Was My Valley”, „Random Har-vest”. Na wojnę także przypada rozkwit pro-pagandowego filmu rysunkowego Disney’a, który, zaczawszy przed wojną „Królowną Śnieżką”, dał później „Pinocchio”, „Ślönątko Dumbo”, „Fantazję” i nieogładany jeszcze u nas film lotniczy.

Te wszystkie filmy ogląda dziś polski cywilny uchodźca, ogląda przede wszystkim żołnierz, pozbawiony książki, o którą dziś w języku polskim jest jeszcze ciężko, tylko od czasu do czasu oglądający polski tea-tr, kino zaś codziennie. Należy więc troskliwie dbać o repertuar kin obozowych, zdobywać dla niego obrazy takie, jak „Mrs. Miniver”, a usuać filmy w rodzaju antypolskiego „Ta-rasa Bulby”, który wraz z dodatkami propa-gandowymi, „jaskrawo sprzecznymi z osobis-tym doświadczeniem naszego żołnierza, prze-dostał się kiedyś do kina obozowego.

Równie należy zatroszczyć się, by nasz widz kinowy umiał patrzeć na film. Pierwsze lata powojenne rozwinię produkcję filmu kolorowego i ostatecznie zamortyzują wynalazek dźwiękownika. Wkrótce zaś potem nadejdzie film plastyczny, który jeszcze bar-dziej zbliży kino do teatru, tym samym jesz-cze poważniej zagrażając teatrowi. Już dziś autorzy teatralni o światowym wzięciu (De-Val, Cocteau, Noel Coward, Priestley, Busz, Fekete) piszą scenariusze filmowe, już dziś autorzy powieściowii wola czasami wyowiadać się językiem filmu (Kästner, Vicki Baum, James Hilton). To wszystko z konieczności odda krytyce filmowej miejsce, zajmowane do-tąd przez recenzję teatralną. Pisma społeczno-literackie będą musiały filmowi poświęcać co-raz więcej miejsca. Im wcześniej — tym nowo-cześniej i lepiej.

Od filmu niemego do dźwiękowego

Jeżeli więc będzie zamiarem pisma prowa-dzenie systematycznego przeglądu filmowego, najwygodniej może zacząć od zwrócenia uw-a-gi na wznowienie chaplinowskiej „Gorączki złota”. Możliwość oglądania filmu niemego sprzed 15—20 lat odrazu uwidatnia różnicę między filmem przeszłości a współczesnym. Śmiały i, jak dotąd, jedyny w historii filmu eksperyment Chaplina prowadzi do odpowie-di na dwa pytania: jaka jest istotna różnica artystyczna między filmem niemy m a dźwię-kowcem oraz — o ile dźwiękowiec stanowi postęp, o ile pewne wartości filmowe mogą opierać się dewaluuującemu wpływowi czasu.

O ile czytanie jest czynnością, w której wrażenia zmysłowe (wzrokowe, słuchowe lub dotykowe — alfabet Braille’a) spełniają tylko rolę przekazujących dla wyzwolenia, pobudze-nia procesów, odbywających się na terenie na-szego t. zw. języka wewnętrznego, o tyle w sztukach takich, jak plastyka, muzyka, film, teatr, słuchowisko radiowe — wrażenie stu-chowe, wzrokowe, lub obydwaj razem, sa czyn-nikiem zasadniczym w doznaniu estetycznym. Właściwie malarstwo, malarstwo w swej naj-czystszej postaci, może się obywać bez wszel-kiego czynnika literackiego czy nawet znacze-niowego, odwołując się tylko do przeżyć, jakie wywołują pewne układy kształtów i barw. Po-dobnie i muzyka. Te właśnie tendencje niekie-dy zdobywają sobie nawet miejsce i w poezji (dadaistycznej), i w teatrze czystej formy. Wtedy i poezja, i teatr tracą swoje wyróżnia-jące właściwości: poezja staje na pograniczu

ZDZISŁAW BRONCEL

muzyki, teatr zaś oscyluje wśród baletu tania wyzwolonego i „ruchomego malarstwa”.

W zasadzie jednak i teatr, i film, i teatr radiowy nie mogą rezygnować i nie rezygnują z treści literackiej i ze związków znaczeniowych. Słowo w audycji radiowej nie jest wy-łącznie dźwiękiem muzycznym, lecz odwołuje się do całego zasobu naszych skojarzeń znacze-niowych, do swej treści, podobnie jak obraz filmowy nie tylko pokazuje, ale i przed-stawia. Pozasłowne dźwięku ra-diowego jego treści znaczeniowej prowadzi w stronę muzyki, dokonanie tego samego w fil-mie — czego nieraz próbowano — prowadzi do filmu abstrakcyjnego, do zjawiska nowego w sztuce, które próbuje się określać jako „malar-stwo ruchome”. Najwybitniejszym ostatnim przykładem tego interesującego nowatorstwa były pewne części „Fantazji” Disney’a, choć łatwo zauważyć, jak trudno jest w filmie osiągnąć abstrakcję, jak trudno przekroczyć granicę między formami tanecznymi a „malar-stwem ruchomym”.

Wyodrębniając się od plastyki i muzyki koniecznością związaną z obrazem i słowem treści literackiej, złożonej z poszcze-gólnych znaczeń, teatr, film i słuchowisko radiowe różnią się między sobą zmysło-wym źródłem przeżycia estetycznego. Film (nowa o filmie niemy m) posługiwał się wy-łącznie obrazem, radio — wyłącznie dźwię-kiem (co obejmuje oczywiście i słowo mówio-ne), teatr zaś — łącząc i obraz, i dźwięk — dostarczał gotowego wzoru swym obu sąsia-dom.

Korzystali oni z niego skwapliwie. I tak jak pierwsze słuchowiska były tylko odczyty-waniem przed mikrofonem sztuk teatralnych, tak samo pierwsze filmy były często niezdar-nym fotografowaniem scen teatralnych. Ale już równocześnie przebiegał się zasadniczy czynnik filmowy: element ruchu i to, co naz-walibyśmy „teatrem materii”.

Film powstał z fotografii, jego atutem i atrakcją była ruchomość obrazu. Nic więc dziwnego, że nie przede wszystkim film starał się pochwalić. W filmach braci Lumière oglądaliśmy tak pasjonujące tematy, jak ogrodnik, polewającego trawnik, jak pędzący pociąg, biegnącego konia. Ówczesna publiczność pa-sjonowała się, patrząc w „iluzjonach” na te krótkie scenki, na komiczne epizody w rodza-ju przewracania się eleganckiego pana w ka-łuże błota.

Ale sam r u c h nie dawał jeszcze filmowi przewagi nad teatrem. Elegancki pan rów-nie dobrze mógł się przewrócić na scenie. Go-rzej już natomiast byłoby w teście z kaskadą błota, a i kol nie mógłby galopować w tea-trze, choć do tradycyjnych efektów operowych należy karoca z czwórka koni i tabeć Lohen-grina. Film zdobywał nad teatrem przewagę w rozległości ruchu, w zmieniającej się sce-nerii, w bogactwie tła, w dekoracyjności, wreszcie — we wprowadzeniu do akcji zwier-ząt i przedmiotów powiedzmy krótko: całego świata przyrody. Jeśli tradycyjny teatr jest teat-r em ludzi, film daby się nazywał teatrem przyrody, lub może śmiałej i ładnie — teatrem świata).

Z wielkich perspektyw, jakie otwiera po-dobne określenie, film korzystał z początku bardzo nieśmiało. Najłatwiej i najchętniej wy-korzystywał przewagę ruchu i możność nie-skończonych efektów dekoracyjnych. Obek filmowy awanturniczy, obok cowboyskich ob-razów z Dzikiego Zachodu, pełnych dynamy i ruchu, których temperamentowi i dziś trudno się oprzeć, powstawały filmy egzoty-czne („Grobowiec Indyjski”) i historyczne wzie-je („Ben-Hur”, „Quo vadis”, „Ostatnie dni Pom-peli”, „10-ro przykazani” i t. d.). Bogactwo wy-stawy, nasycenie oczu, niezwykłość przygód — górowały nad wszystkim.

Z drugiej strony rozwijał się inny gatun-ek filmu, trzymający się teatru jak piętkę matczynej sukni. W tych obrazach typowa treść teatralna czy powieściowa była przeno-szona na ekran przy wykorzystaniu technicz-nych możliwości filmu, pozwalających na częste zmienianie scen i dekoracji. Brak słowa łatanu napisem — sytuację sztuczną i dla dzisiejszego oka już nawet wulgarną uratowało pojawienie się kilku wybitnych ta-lentów dramatycznych: Jannings, Konrad Veidt, Pola Negri. Gdy jeszcze zastosowano zdjęcia zbliżone, gdy zjawia się maniera prze-trzymywania niektórych zbliżeń (sceny poca-lunków) aż do uzyskania podobieństwa ze zdjęciem fotograficznym, rozpoczęła się po-god za pięknymi twarzami i zrodził się romans filmowy, dający szybko swych najznakomit-szych przedstawicieli: Rudolfa Valentino i Grete Garbo.

Przy stopniowym udoskonalaniu techniki zdjęć, możliwości trickowych, subtelności re-żyserii i gry, film pozostał zasadniczo w tej fazie rozwojowej aż do czasów, niewiele po-przedzających wejście dźwiękownika, do okresu pojawienia się reżyserów typu King Vidora i Abła Gance. Abel Gance, znakomity insceni-ator francuski, jest twórcą i propagatorem filmu psychologicznego („Koko udreki”.

„Oskarżam”) zawartego przytem możliwie ściśle w właściwych granicach sztuki filmo-wej, w obrazie, unikającym napisów. Obok niego — King Vidor wprowadza do filmu, je-den z pierwszych, akcenty społeczne („Chleba naszego powszedniego...”). Jeżeli przypom-nięd jeszcze raz zasadnicze gatunki filmu niemego: film awanturniczy (Fairbanks), cowboyski, romans, film historyczny, film o charakterze dokumentarnym (egzotyka.



CHARLIE CHAPLIN W FILMIE „GORĄCZKA ZŁOTA”

dzungla, zaczątki filmu naukowego) — będzie-mi mieli całąś dorobku X-ej Muzy w chwili, gdy nowy wynalazek kazał jej przemówić.

Wielki niemowa

Zanim to jednak nastąpiło, publiczność po pierwszych naiwnych entuzjazmach nau-czyła się cenić wielkiego niemowę wtedy, gdy nie odwoływał się do pisanego słowa, gdy nie ujawniając swego kalektwa, przemawiał wta-

śoiwym sobie językiem — językiem obrazu. Na tym tle zyskały wielkie powodzenie, po-dobne do dzisiejszych sukcesów nadprogra-mówek Disney’a, komiczne dwuaktówki, rów-nie groźne w skutkach, nie budzące współczucia.

Z takich to założów wyrosły farsy, pełne rzucaania w twarz bohaterom filmów tortów, pełnych kremu. Później zjawili się Fatty - grus-basek, aż wreszcie, w miarę komplikowania akcji tworzenia coraz to oryginalniejszych i dowcipniejszych „gag’ów”, ogładaliśmy — i wspomniamy do dziś dnia — filmy Maxa Lindera („7 lat nieszczęść”, „Trzech muszkie-terów”), Harolda Lloyd’a („O pietro wyżej!”), Bustera Keatona, Eddie Cantora, Pata i Pa-tachona (komiczny kontrastu wzrokowego!), aż do dzisiejszego Filpa i Flapa.

Pewnego dnia na ekranie zjawiał się film o niepozornym człowieczku, ubranym w melo-nik, w wyszarzaly tużurek, szluczkowe spodnie, za duże buty, opierającego się na gietkiel, trzcinowej lascecz, której ostrym końcem ow elegant czyści sobie paznokcie. Za pazucha — kanapka, owinięta w gazetę. Towarzyszy mu mały chłopczyzna o włosach, spadających rozczochraną grzywką na czoło. To Charlie Chaplin i Jackie Coogan. W przyodzianym w nieśmiertelny oddat melonik bohaterze „Brzdę-ca” poznajemy postać z wystraszonych oczach i najczernym, krótkim, czarnym wąsik, którą dotąd znaleźliśmy jako arcywzrastabiasza w śmiesznych nadprogramach „Po tryumfie Brzdęca” — którego dziś należałoby wzno-wić — przychodzi wzruszający „Cyrek”, nie-bywała w swej kontrastowej emocjonalności „Gorączka złota”, dalej — „Świata wielkiego miasta”, niedawne „Dzisiejsze czasy” i wresz-cie antynazistowski „Dyktator”, żeby wymie-nić przynajmniej najważniejsze z filmów Chaplina.

Z początku uważa się obrazy Chaplina za zwykłe pełnometrzowe filmy komiczne, ich autora i głównego aktora — za jednego więcej błaznika i śmieszaka. Ale na komicz-nym „Brzdęcu” ludzie płażą, po „Cyрку” opuszczają sałe kinową ze ściśniętym sercem. W tych „komicznych” obrazach są sceny ta-kie, jak śmierć w katastrofie, jak bicie i zne-canie się nad słabszym, jak uwadek z trapezu i meka kalektwa, jak upokorzenie szulajace-go pracy przed brutalnym właścicielem przed-siejbiorstwa, jak nieodmienne zakończenie — pusta, błotnista droga, idea w mgłę, i odcho-dzący niej samotny, śmieszny człowieczek.

W filmach Chaplina konflikt z przedmio-tami, z przyrodą, z otaczającym człowieka bezdusznym światem nie przestał być w szcze-gółach, w poszczególnych scenach komicz-nym, ba! arcykomicznym, gdyż nikt przed Chaplinem tak doskonałych „gag’ów” nie stworzył, ale w swej zasadzie, w istocie rzeczy — konflikt nabiera cech tragicznych. Przyroda, jej pra-wa, zwracają się nieustannie przeciw czło-wiekowi. Ścieżę go wicher i ślota, ziębi mroź, za-sypuje śnieg, nawet prawo ciężkości grozi mu nieustannie zgubą — ulubiony motyw Chapli-na, wyzykiwany w każdym filmie, i nawet gdy człowiek przyrodo opamię, gdy stworzy maszynę, wówczas pod postacią maszyny por-wa go i unicestwia ta sama bezdusna siła — jeśli przypomnieć świetną scenę Chaplina na pasie transmisyjnym w „Dzisiejszych cza-sach”.

Pod wpływem naiwnej wiary w pomyśln-ość życia, we własne szczęście, człowiek — Chaplin ulega cyklowi złudzeń: sytuacja dla bohatera optymistyczna, dla widza staje się komiczną; w chwili później, gdy poznajemy wszystkie jej składniki — zmienia się w tra-gikomiczną. Oto w walce Chaplina z silniej-szym przeciwnikiem nagle spada na głowę osłłka ciężki zegar, — Chaplin dufnie tryum-fuje, nabiera przesvědzenia o własnej sile, by w chwili później ponieść smrotną klęskę („Gorączka złota”).

W „Dzisiejszych czasach” Chaplin, zako-chany Chaplin, wykonywa szaleńczy taniec na wrotkach po piętrze wielkiego domu to-warowego, nie zdając sobie sprawy, upojony własną zrzecznością, z gromzącą mu śmierci. Na tę scenę, pełną nieodpartego komizmu, patrzy przerażonymi oczyma zakochana w Chaplinie kobieta — i my patrzymy poprzez jej strach i lęk o życie...

Chaplinowskie przygody, pozorne tylko zabawne, w istocie podkreślają, jak kruchą istotą jest człowiek, jak śmiertelne są jego radości i smutki, jak wiele niespodzianek — i niebezpieczeństw — czeka na widownię. Nie poznasz mnie, bo jak poznać Jesień dawnego spojrzenia, I ufnosć, której rozpoznaj Nie można wśród zatracenia.

Nie poznasz mnie, bo jak poznać

Jesień dawnego spojrzenia,

I ufnosć, której rozpoznaj

Nie można wśród zatracenia.

Nie poznasz mnie, bo jak poznać

Jesień dawnego spojrzenia,

I ufnosć, której rozpoznaj

Nie można wśród zatracenia.

Nie poznasz mnie, bo jak poznać

Jesień dawnego spojrzenia,

I ufnosć, której rozpoznaj

Nie można wśród zatracenia.

Nie poznasz mnie, bo jak poznać

Jesień dawnego spojrzenia,

I ufnosć, której rozpoznaj

Nie można wśród zatracenia.

Nie poznasz mnie, bo jak poznać

Jesień dawnego spojrzenia,

I ufnosć, której rozpoznaj

Nie można wśród zatracenia.

odkrycia złośliwości przedmiotów martwych, do nieuchronnego komizmu, opartego na ob-serwowaniu nieczepności ludzkiej, błahej, nie-groźnej w skutkach, nie budzącej współczucia.

Z takich to założów wyrosły farsy, pełne rzucaania w twarz bohaterom filmów tortów, pełnych kremu. Później zjawili się Fatty - grus-basek, aż wreszcie, w miarę komplikowania akcji tworzenia coraz to oryginalniejszych i dowcipniejszych „gag’ów”, ogładaliśmy — i wspomniamy do dziś dnia — filmy Maxa Lindera („7 lat nieszczęść”, „Trzech muszkie-terów”), Harolda Lloyd’a („O pietro wyżej!”), Bustera Keatona, Eddie Cantora, Pata i Pa-tachona (komiczny kontrastu wzrokowego!), aż do dzisiejszego Filpa i Flapa.

Pewnego dnia na ekranie zjawiał się film o niepozornym człowieczku, ubranym w melo-nik, w wyszarzaly tużurek, szluczkowe spodnie, za duże buty, opierającego się na gietkiel, trzcinowej lascecz, której ostrym końcem ow elegant czyści sobie paznokcie. Za pazucha — kanapka, owinięta w gazetę. Towarzyszy mu mały chłopczyzna o włosach, spadających rozczochraną grzywką na czoło. To Charlie Chaplin i Jackie Coogan. W przyodzianym w nieśmiertelny oddat melonik bohaterze „Brzdę-ca” poznajemy postać z wystraszonych oczach i najczernym, krótkim, czarnym wąsik, którą dotąd znaleźliśmy jako arcywzrastabiasza w śmiesznych nadprogramach „Po tryumfie Brzdęca” — którego dziś należałoby wzno-wić — przychodzi wzruszający „Cyrek”, nie-bywała w swej kontrastowej emocjonalności „Gorączka złota”, dalej — „Świata wielkiego miasta”, niedawne „Dzisiejsze czasy” i wresz-cie antynazistowski „Dyktator”, żeby wymie-nić przynajmniej najważniejsze z filmów Chaplina.

Z początku uważa się obrazy Chaplina za zwykłe pełnometrzowe filmy komiczne, ich autora i głównego aktora — za jednego więcej błaznika i śmieszaka. Ale na komicz-nym „Brzdęcu” ludzie płażą, po „Cyрку” opuszczają sałe kinową ze ściśniętym sercem. W tych „komicznych” obrazach są sceny ta-kie, jak śmierć w katastrofie, jak bicie i zne-canie się nad słabszym, jak uwadek z trapezu i meka kalektwa, jak upokorzenie szulajace-go pracy przed brutalnym właścicielem przed-siejbiorstwa, jak nieodmienne zakończenie — pusta, błotnista droga, idea w mgłę, i odcho-dzący niej samotny, śmieszny człowieczek.

W filmach Chaplina konflikt z przedmio-tami, z przyrodą, z otaczającym człowieka bezdusznym światem nie przestał być w szcze-gółach, w poszczególnych scenach komicz-nym, ba! arcykomicznym, gdyż nikt przed Chaplinem tak doskonałych „gag’ów” nie stworzył, ale w swej zasadzie, w istocie rzeczy — konflikt nabiera cech tragicznych. Przyroda, jej pra-wa, zwracają się nieustannie przeciw czło-wiekowi. Ścieżę go wicher i ślota, ziębi mroź, za-sypuje śnieg, nawet prawo ciężkości grozi mu nieustannie zgubą — ulubiony motyw Chapli-na, wyzykiwany w każdym filmie, i nawet gdy człowiek przyrodo opamię, gdy stworzy maszynę, wówczas pod postacią maszyny por-wa go i unicestwia ta sama bezdusna siła — jeśli przypomnieć świetną scenę Chaplina na pasie transmisyjnym w „Dzisiejszych cza-sach”.

Pod wpływem naiwnej wiary w pomyśln-ość życia, we własne szczęście, człowiek — Chaplin ulega cyklowi złudzeń: sytuacja dla bohatera optymistyczna, dla widza staje się komiczną; w chwili później, gdy poznajemy wszystkie jej składniki — zmienia się w tra-gikomiczną. Oto w walce Chaplina z silniej-szym przeciwnikiem nagle spada na głowę osłłka ciężki zegar, — Chaplin dufnie tryum-fuje, nabiera przesvědzenia o własnej sile, by w chwili później ponieść smrotną klęskę („Gorączka złota”).

W „Dzisiejszych czasach” Chaplin, zako-chany Chaplin, wykonywa szaleńczy taniec na wrotkach po piętrze wielkiego domu to-warowego, nie zdając sobie sprawy, upojony własną zrzecznością, z gromzącą mu śmierci. Na tę scenę, pełną nieodpartego komizmu, patrzy przerażonymi oczyma zakochana w Chaplinie kobieta — i my patrzymy poprzez jej strach i lęk o życie...

Chaplinowskie przygody, pozorne tylko zabawne, w istocie podkreślają, jak kruchą istotą jest człowiek, jak śmiertelne są jego radości i smutki, jak wiele niespodzianek — i niebezpieczeństw — czeka na widownię. Nie poznasz mnie, bo jak poznać Jesień dawnego spojrzenia, I ufnosć, której rozpoznaj Nie można wśród zatracenia.

Nie poznasz mnie, bo jak poznać

Jesień dawnego spojrzenia,

I ufnosć, której rozpoznaj

Nie można wśród zatracenia.

Nie poznasz mnie, bo jak poznać

Jesień dawnego spojrzenia,

I ufnosć, której rozpoznaj

Nie można wśród zatracenia.

Nie poznasz mnie, bo jak poznać

Jesień dawnego spojrzenia,

I ufnosć, której rozpoznaj

Nie można wśród zatracenia.

Nie poznasz mnie, bo jak poznać

Jesień dawnego spojrzenia,

I ufnosć, której rozpoznaj

Nie można wśród zatracenia.

Nie poznasz mnie, bo jak poznać

Jesień dawnego spojrzenia,

I ufnosć, której rozpoznaj

Nie można wśród zatracenia.

pułapkach, w jakie los wciąga Chaplina. Chap-lin zrezygnował ze swego własnego oblica — przyjął charakterystyczny, uczynił się typem nabrał cech ogólnoludzkich. Dzięki temu prze-trwał najgłośniejsze gwiazdy ekranu, których urodę zgasił czas, dzięki temu też wkroczył w codzienne, potoczne życie — uzyskał niezwyk-le bliski kontakt z widzem.

Komicy w stylu Keatona zamieniali się w bezdusne kukiełki: Keaton zastąpił ze swe-go „drewnianego” wyrazu twarzy, Harold Lloyd z przyklejonego do bezmysłnej twarzy uśmiechu. Chaplin — przy pomocy kostiumu i stylizacji ruchów nadał sobie pewną mario-netkowość, ale zarazem poprzez liryzm wydo-bił ludzkość postaci, ukazał niejako mecha-nizm kukiełki, uczynił swego filmowego trapa-na napół lalką, napół człowiekiem, filmowym Papkiem, który przesła — poza Charlie Chaplinem — jest chyba jedyną tego rodzaju in-wencją w sztuce.

Człowiek komiczny

Naiwnie optymistyczny stosunek Chapli-na do świata jego zaznaczony na początku każ-dego filmu, był później na tle niefortunnnych doświadczeń — zamieniał się w gorzcy i rozczarowanie. Ten stosunek obejmuje nie tylko świat martwy, ale i świat ludzi. Chaplin nie dostrzega oszustwa, przemocy i krzywdy, póki nie dozna ich sam. Wierzy pierwszemu lepsze-mu słowu, oddaje swą miłość, romantycznie, idealną, pełną ubóstwienia, pierwszej kobie-cie, jaka obdarzy go gestem współczucia. Roz-poczyna się wówczas nieodmienna historia Dulciney z Toboso. Wielbi Chaplin swą bo-dankę niczem królową, niczem żeślanie nie-bios, czy to będzie dziewczyna zakochana w innym i tylko wykorzystująca pomoc komicz-nego adoratora („Cyrek”), czy ślepa kwaci-ar-ca („Świata wielkiego miasta”), czy taxi-girl z dancingu o wątpliwych obyczajach („Go-rączka złota”), czy wreszcie bezdomne, napó-dziedzicze, tachmaniarzkie dziecko fabrycznego środowiska („Dzisiejsze czasy”).

Dając od razu wszystko, dając całe serce, oczekuje Chaplin także wszystkiego — naj-wyżej przyjął, największej miłości. Stąd zawody i rozczarowania. Mimo nich Chaplin w sferze uczucia pozostaje maksymalista: kiedy — w zakończeniu „Cyрку” — mógłby znaleźć pracę, spokój i czułą opiekę dw

STANISŁAW WEINBERG

O POLITYKĘ ZAGRANICZNĄ USA

Ameryka wraca do Europy! Koniec izolacjonizmu! Stany Zjednoczone wezmą stały i czynny udział w powojennej organizacji światowego bezpieczeństwa!

Wszyscy powtarzamy te slogany z głęboką wiarą, że niosą nam one jutro lepsze i szczęśliwsze. Widzimy w nich rękojmnię realizacji naszych marzeń o pokoju i wolności, tryumfu szlachetnych myśli Waszyngtona i Lincolna. Idee deklaracji niepodległości, na której każde amerykańskie dziecko zaczyna się uczyć abecadła, zwykliśmy łączyć z obrazem Ameryki, tak jak idee francuskiej deklaracji praw człowieka są w naszych oczach zawsze związane z obrazem Francji.

Jednocześnie jednak hasła te z pierwszych stron dzienników stały się dla nas nie tylko skrótem tkwiącej za nimi treści, ale zaczęły tę treść zastępować. Czy powtarzając je, zdajemy sobie sprawę z prawdziwych dążeń i celów polityki amerykańskiej XX w.? Czy zdaje sobie z nich sprawę Ameryka sama, która w ciągu półtora wieku wyrosła z garści farmerskich kolonii do znaczenia i roli pierwszego mocarstwa świata?

Walter Lippman, jeden z najwybitniejszych dziennikarzy amerykańskich, stara się dać na te pytania odpowiedź w niewielkiej książeczce o polityce zagranicznej Stanów Zjednoczonych, która ukazała się niedawno w Nowym Jorku. Książka Lippmana p. t. „U. S. Foreign Policy — Shield of the Republic” należy obok wcześniejszej nieco książki Herberta Agara „A Time for Greatness” do najciekawszych publikacji politycznych tej wojny. Obie, zarówno ze względu na pozycję autorów w swoim kraju, jak i na wagę i sposób wykładu, nabrały znaczenia dokumentów.

Od 50 lat — twierdzi Lippman — Stany Zjednoczone nie posiadają stałej i konsekwentnej polityki zagranicznej. Od końca wojny hiszpańskiej, t. j. od r. 1898, żaden z prezydentów nie mógł liczyć na poparcie jednolitej opinii publicznej w sprawach stosunku Stanów do zagranicy. Okres 20 lat po pierwszej wojnie światowej wypełniony był niekończącymi się sporami, które nie pozwoliły ani na uniknięcie następnej wojny, ani na należyte do niej przygotowanie. Dzisiaj mamy do czynienia z tym samym brakiem jasnego myślenia i silnej decyzji o polityce amerykańskiej po zakończeniu wojny.

Braki te stały się przyczyną faktu, że od 50 lat Ameryka nie jest nigdy w chwili kryzysu tak przygotowana, jak tego wymagają jej międzynarodowe zobowiązania. Czynnik bezpieczeństwa amerykańskiego uległy w ciągu XIX w. całkowitej zmianie; polityka zagraniczna za zmianami tymi nie podążała w sposób dostateczny. Kiedy w r. 1863 prezydent Monroe ogłosił swą słynną deklarację, istniał rodzaj jakby cichego układu z Wielką Brytanią, której potęgą morską, pierwszą wówczas w świecie, gwarantowała bezpieczeństwo półkuli zachodniej od Atlantyku. Od r. 1875 rozpoczyna się ekspansja amerykańska na Pacyfiku. W r. 1876 Stany odkupują Alaskę od Rosji, w latach 1893—1898 anektują Hawaje i Filipiny. Poza jednym Teodore Rooseveltem nikt jednak nie stara się o przystosowanie realnej siły, w postaci czy to zbrojeń, czy sojuszów, do nowych zobowiązań.

Taft i Wilson formowali swoją ideologię w okresie izolacjonistycznych złudzeń XIX w. Obaj natchnieni byli idealizmem, który pełnia Amerykanów do przyjmowania wielkich obowiązków, i pacyfizmem, który powstrzymuje ich od stworzenia środków, by obowiązkom tym sprostać. Dlatego, kiedy Ameryka rada nie rada musiała przystąpić do wojny światowej, Wilson nie tylko nie posiadał dostatecznych zbrojeń, ale nadto nie miał na swe usługi żadnej silnej polityki zagranicznej, któraby — przyjęta przez cały naród — mówiła mu, z jakich przyczyn i dla jakich celów ma prowadzić wojnę. To też formalne motywy interwencji — niemieckie okrucieństwa i nieograniczona wojna podwodna — były tylko powierzchowne, kryło się za nimi dopiero podświadome jeszcze pragnienie, że zwycięstwo niemieckie stworzy w przyszłości stan stałego zagrożenia amerykańskiego bezpieczeństwa. Amerykanie nie bili się ani o demokrację, ani o obalenie cesarza i stworzenie republiki niemieckiej, ani wreszcie o Ligę Narodów. Cel wojny był jeden — zapewnienie bezpieczeństwa Stanów.

Gdyby ta prawda rozumiana była od początku, późniejsze wydarzenia potoczyłyby się może odmiennie. Dopiero w 20 lat później klęska Francji śmiertelną groźbą zawisła nad brytyjskimi wyspami i pierścieniami japońskimi, zaskakując się wokół Filipinów, odsłoniły nagle

prawdziwe położenie strategiczne Ameryki w świecie.

Z myślowych nawyków minionego stulecia wyrosły pacyfizm amerykański sprzeciwiały się zbrojeniom i odrzucały sojusze. Urosł w tej postaci do narodowej ideologii w dużym stopniu dzięki temu, że Azja była jeszcze uśpioną, Europa — rozbita, a potęga morską Anglii niepodzielnie panowała na oceanach. Amerykanin zapomniał, że człowiek zdobywać musi wolność i bezpieczeństwo tak, jak zdobywać musi chleb; swoją uprzywilejowaną pozycję zaczął uważać za prawo naturalne, a gratisowe bezpieczeństwo za nagrodę moralnej przewagi.

Złudzenia stały się fundamentem, na którym Amerykanie oprócz chcieli swą międzynarodową pozycję. Złudzenia morska, rozbrojenia i izolacji. Polityka zagraniczna, nie uwzględniająca prawdziwych interesów kraju, uniemożliwiała przewidywanie wojen, których można było uniknąć, nie pozwalając na przygotowanie się do wojen nieuniknionych, by prowadzić z kolei do układów otwierających nową drogę do wojen nieprzewidywanych, nieprzygotowanych i do nie regulujących niczego traktatów. W tym błędnym kole polityka zagraniczna Stanów obraca się od lat 50.

Prawdziwa polityka zagraniczna wynikać musi z prawdziwych interesów kraju. Pierwszym obowiązkiem narodu jest obrona jego terytorium. Strefa obronna Ameryki, gwarantowana do r. 1900 na morzach przez potęgę brytyjską, rozciąga się dzisiaj na świat cały. Z dniem, kiedy W. Brytania przestała być jedyną panią mórz, amerykańska doktryna strategiczna zawodzi. Groźba podboju Anglii przez Niemcy i bliskiego z nimi następnego sąsiedztwa uniemożliwiła Ameryce zachowanie neutralności w obu wojnach światowych. Najbliższymi sąsiadami Stanów Zjednoczonych są Wielka Brytania, Rosja i Japonia; są to jednocześnie, oprócz Niemiec, największe potęgi militarne świata. Układ stosunków między Ameryką a Wielką Brytanią, Rosją i Japonią od r. 1900 reguluje i prawdopodobnie będzie regulował sprawy wojny i pokoju na przyszłość. Niemcy wpływają mogą na ten stan rzeczy o tyle, o ile są nieprzejścielnie lub sojusznikiem jednego z tych mocarstw.

Przygotowanie zbrojne jest warunkiem podstawowym, ale nie jedynym, bezpieczeństwa Ameryki, której zobowiązania obejmują połowę kuli ziemskiej. Potencjał wojenny starego świata przewyższa znacznie potencjał amerykański. Całość sił, jakie mogą zmobilizować Anglia, Rosja, Niemcy, Japonia, Włochy, Chiny, Francja, Polska, kraje Europy środkowej i Bałkany, jest nieproporcjonalnie większa od potencjału, jaki dałyby się osiągnąć przy maksymalnym nawet wysiłku mobilizacyjnym całego kontynentu amerykańskiego. Drugim zatem podstawowym elementem jego bezpieczeństwa musi być system pewnych sojuszów, redukujący liczbę ewentualnych przeciwników.

Jeżeli, jak przewiduje Lippman, w wyniku tej wojny uda się zniszczyć potęgę wojenną Niemiec i Japonii, na świecie pozostaną trzy wielkie mocarstwa: Wielka Brytania, Stany Zjednoczone i Rosja. Szukanie z nimi sojuszu będzie kapitalnym problemem amerykańskiej polityki zagranicznej.

Sojusz anglo-amerykański jest niezbędny dla obu krajów. Anglia znajduje się na wszystkich kluczowych stanowiskach obszarów, których obrona jest politycznym obowiązkiem Stanów Zjednoczonych. W centrum tych obszarów leży dominium Kanady. Przez nie biegnie jedyne połączenie lądowe z Alaską i najkrótsze linie lotnicze do Europy i Azji. Bezpieczeństwo północnych terytoriów kontynentu amerykańskiego związane jest więc z lotniczą i morską potęgą Wielkiej Brytanii. Bazy brytyjskie są jednocześnie istotnym elementem obrony Ameryki Południowej. Znajdują się one w Bathurst, Freetown i w Afryce Zachodniej. Gibraltar panuje nad wejściem na morze Śródziemne, Kapsztat strzeże wylotu na ocean Indyjski. Wyspy Falklandzkie zabezpieczają drogę na Pacyfik dokoła przylądka Horn. Jak długo punkty te znajdują się w rękach brytyjskich, terenom amerykańskim nie grozi niebezpieczeństwo ataku.

Obrona Kanady, stanowiąc element istotny bezpieczeństwa półkuli zachodniej, wiąże interesy brytyjskie i amerykańskie w sposób nierozdzielny. Wielka Brytania musi przyjąć z pomocą Ameryce, jeśli pragnie ocalić Kanadę; Ameryka musi pomóc Wielkiej Brytanii, jeśli nie chce dopuścić do tego, by nieprzyjacielskie mocarstwo zajęło jej wysunięte stanowiska. Siła tych więzów przetrwała próbę przeszło stuletniego doświadczenia.

Zdawaćby się mogło, że po skutecznym rozładowaniu wojennego potencjału Osi wspólnota anglo-amerykańska wraz ze skupionymi wokół niej narodami Europy stworzy niewzruszony bastion pokoju przyszłego świata. Lippman idzie wszakże dalej w swej wędrówce w poszukiwaniu pokoju.

Rosja.

Jest faktem oczywistym i aż nazbyt dobrze od dawna znanym, że nazwanie wzajemnych uczuć rosyjskich i amerykańskich „przyjaznymi” byłoby co najmniej przesadne. Wolny Amerykanin nienawidził autokracji carskiej i nie obdarzał szczerą miłością dyktatury sowieckiej. Z drugiej strony, Ameryka straszyla carów swoim demokratycznym rewolucjonizmem, dopóki w oczach opinii sowieckiej nie

stała się symbolem kapitalistycznego imperializmu. Przypadek, że mimo tych niechęci nigdy nie doszło między obu krajami do wojny, autor uogólnia w twierdzeniu, że „historia stosunków rosyjsko-amerykańskich wykazuje dobitnie, że ideologia w polityce międzynarodowej jest w tym samym stopniu mało ważna, jak istotną jest konieczność uwzględniania interesów narodowych”. Wniosek — powiedzieć można — nieco nieoczekiwany w piątym roku ideologicznej wojny.

Jakie więc konieczności rządzić będą przyszłym układem stosunków między Stanami Zjednoczonymi a Rosją? Jeśli Niemcom odbierze się raz na zawsze ochotę do panowania nad Europą, a Japonii uniemożliwi próby budowania swego imperium w Chinach albo Indiach, Ameryka i Rosja nie będą potrzebowały gwarancji wzajemnej przyjaźni. Przeciwnie, Rosja będzie najsilniejszym mocarstwem na tyłach nieodzownych i naturalnych sojuszników Stanów Zjednoczonych — Anglii, Skandynawów, Holendrów, Belgów i łacińskich członków wspólnoty atlantyckiej. Na północnym Pacyfiku Rosja będzie najbliższym sąsiadem Ameryki. Dla niej zatem najważniejszą rzeczą będzie wiedzieć, czy Rosja zamierza rozciągnąć swą władzę na zachód w ten sposób, że mogłaby ona zagrozić bezpieczeństwu krajów atlantyckich, oraz czy będąc bliskimi sąsiadami na Pacyfiku, oba mocarstwa staną przeciw sobie, czy znajdą piaszczynę porozumienia.

Pytanie to stanie się naczelnym problemem rozpoczynającej się obecnie epoki. Rozstrzygnie o niej stosunek między Rosją a wspólnotą atlantycką, w której Wielka Brytania i Stany Zjednoczone grać będą rolę kierowniczych potęg militarnych. Układ, w którego wyniku nastąpiłoby przeciwstawienie Rosji sił anglo-amerykańskich, stałby się tylko wstępem do trzeciej wojny światowej w Europie i Azji. Najwyższy interes obu stron polega na stworzeniu takiej sytuacji europejskiej, która zdolna będzie do utrzymania się bez stwarzania między nimi konfliktu.

Jak ma wyglądać organizacja Europy, odpowiadająca tym warunkom, Lippman nie odpowiada. Twierdzi tylko, że Stany Zjednoczone nie mogą zgodzić się na nowy Wersal, na stworzenie „kordonu sanitarnego” z państw, sąsiadujących z Rosją. Kordon taki nie stwarza żadnej siły. Niemcy złamałyby go z łatwością, nie zdołałyby on powstrzymać Rosji. Zachęcanie narodów Europy Środkowej i Wschodniej do organizowania bariery przeciwko Rosji byłoby zaciąganiem przez Amerykę nowych zobowiązań, którym nie mogłaby ona sprostać, zmuszałoby ją do przyrzeczenia pomocy, której udzielić nie będzie w stanie. W rezultacie należy krajom tym pozostawić troskę o organizację swego politycznego bytu na podstawach, jakie im odpowiadają najlepiej.

Zapewne, kraje te nie pragną niczego bardziej, niż pozostawienia im tej właśnie troski. Można by jednak zapytać, czy propozycja Lippmana nie stanowi po prostu zgłoszenia desinterementu Ameryki co do przyszłości tej części Europy. Obojętność ta jest nieusprawiedliwiona u autora, który dopiero co kładł nacisk na znaczenie łacińskich członków wspólnoty atlantyckiej dla obrony amerykańskiego kontynentu. Z Warszawy do Madrytu jest przecież bliżej niż z Lizbony do Nowego Jorku.

Odrzuciwszy raz ideologię jako czynnik polityki zagranicznej, Lippman nie widzi w stosunkach amerykańsko-rosyjskich elementów, które mogłyby pchnąć oba kraje do wrogich sobie obozów. Nie ma między nimi sporów terytorialnych. Jeśli istnieje rywalizacja potęg, to nie ujawnia się ona bezpośrednio.

Inaczej zupełnie patrzy na sprawę Agar. Dla niego wojna obecna jest przede wszystkim konfliktem ideologicznym. Nazywa ją militarną fazą światowej rewolty przeciwko cywilizacji. Wybuchła w Niemczech, bo tam od 2.000 lat wybuchają wszystkie rewolty cywilizacji zachodu, bo Niemcy w ciągu całej swej historii znajdowały się poza strefą świata śródziemnomorskiego, w którym inne narody uczyły się tłumienia w sobie „wewnętrzny barbarzyńcy”. Demokracje pomagają państwu komunistycznemu dlatego, że przymierze z nim potrzebne jest do wygrania wojny. Wojna nie jest klubem, do którego wpuszcza się tylko te osoby, które skłonni jesteśmy uważać za odpowiednie na mężów naszych córki. Wpływ Rosji na kształtowanie oblicza powojennego świata zależeć będzie przede wszystkim od naszej postawy ideologicznej. Wielki udział Rosji w zwycięstwie pozwoli jej narzucić swą hegemonię światu, jeżeli my sami nie dorosniemy do nakazów naszej cywilizacji. Jeśli najszcześliwsze i najbogatsze spośród demokracji postępować będą jak samolubne dzieci, znaczenie wolności upadnie. Z wielkiej czwórki — trzy oddane są wielkiej idei demokratycznej. Jeżeli będziemy jej służycy wiernie, nie potrzebuje się ona obawiać niczego od idei przeciwnych. Wówczas raczej system sowiecki mógłby obawiać się hegemonii dogmatu demokratycznego. Demokracja nie powinna obawiać się, że idea o wartości niższej i opierająca się na mniejszej sile mogłaby ją nagle zetrzeć z powierzchni ziemi.

Lippman natomiast widzi w sojuszu z Wielką Brytanią i Rosją realizację celu poli-

tyki amerykańskiej, zmierzającej do zapobieżenia agresji jakiegokolwiek potęgi europejskiej poza granicę kontynentu. Podobny wspólny fundamentalny interes mają Wielka Brytania i Rosja, dla których sprawą życia lub śmierci jest niedopuszczenie do powstania hegemonii, zdolnej do podboju Europy. Potencjalna możliwość powstania konfliktu między wielkimi mocarstwami dla niego nie istnieje, czy też pomija ją milczeniem. Europej od hitlerizmu, a Daleki Wschód od Japonii, uwolnić może tylko połączenie sił trzech mocarstw, które zwycięsko wyjdą z tej wojny. Tylko razem będą mogły utrzymać nowy porządek świata i nie dopuścić do ponownej agresji.

Dodajmy tu tylko, że autor nie wyjaśnia, kto by tą agresją mógł grozić, skoro Niemcy i Japonia wyeliminowane będą raz na zawsze.

Wokół państw zwycięskich powstanie organizacja innych narodów. Zjednoczenie mocarstw wielkich będzie jednak trwałe tylko w tym stopniu, w jakim zgodzą się na poszanowanie wolności innych narodów i użycie swej siły jedynie dla obrony wolności na drodze prawa międzynarodowego. Po totalnej klęsce Niemiec i Japonii nastąpi wśród wielkich mocarstw ogromne uczucie wyzwolenia; wystarczy to jednak, by wyszły wtedy na wierzch różnice drugorzędne, które zagrażą nowym konfliktem. Zdarzało się to wielokrotnie po wojnach, wygrywanych przez koalicje; rok 1919 był najświeższym tego stanu przykładem. To samo może się z łatwością powtórzyć i tym razem. Już teraz, zimą 1943 r., perspektywy nadchodzącego zwycięstwa odsłoniły pewne rysy we froncie alianckim. Będą się one pogłębiać, jeśli jedno z mocarstw szukać będzie powiększenia swych ziem kosztem innych lub ich sojuszników. W ten sposób imperialistyczna polityka amerykańska, działająca na szkodę Wielkiej Brytanii, mogłaby zniszczyć wspólnotę atlantycką. Anglia musiałaby wówczas szukać innych sposobów zabezpieczenia się przed aspiracjami Ameryki.

Podobnie, jeśli Anglia nie zechciała uznać zmian, jakie od XIX wieku zaszły w systemie kolonialnym i imperialnym, zbudziłyby przeciwko sobie siły Azji, Środkowego Wschodu i Afryki. Nie mogłaby przeciw nim liczyć na pomoc Ameryki, a Rosja i Chiny z pewnością podałyby im rękę.

Tak samo polityka ekspansji rosyjskiej w Europie stanowiłaby groźbę dla obu mocarstw anglosaskich, które musiałyby udzielić pomocy krajom, wystawionym na niebezpieczeństwo rosyjskie.

Analogicznie przedstawiają się sprawy na terenie Azji.

Takie są naturalne przyczyny, dla których trwały sojusz wielkiej czwórki osiągnąć się da jedynie w granicach porządku międzynarodowego, opartego na poszanowaniu wolności i praw innych narodów. Gdyby ten sojusz postąpił miały za narzędzie ucisku reszty ludzkości, narody powstałyby przeciwko niemu, a ten lub ów spośród wielkich aliantów przystąpiłby z interesu lub sympatii do walczących o wolność. Do takiego samego konfliktu musiałyby z konieczności doprowadzić podział świata na strefy wpływów, gdyby w ogóle w nowoczesnych warunkach możliwy był do przeprowadzenia.

Podstawą nowego porządku musi być zatem zapewnienie sobie przez mocarstwa dobrej woli narodów. By ją zdobyły na przyszłość, nie wystarczy samo zniszczenie Niemiec i Japonii. Motywem akcji narodów są ich własne interesy, a wdzięczność dla zwycięzców przetrwa tylko pod warunkiem, jeśli dążą do utrwalenia, powstrzymać agresję i stosować liberalizm, który usunie ewentualne przyczyny rewolty. Doświadczenie historii pokazało, że trwałość potęgi mierzy się stopniem, w jakim jest ona zdolna do stanowienia i ochrony praw, pozwalających ludziom korzystać z dóbr, do których są najbardziej przywiązani.

Amerykanie bez fałszywego wstydu mogą sobie powiedzieć, że ich miłość wolności, kierowanej prawem a nie tylko siłą materialną, pozwoliła krajom, sąsiadującym z kontynentem amerykańskim, uważać swe interesy życiowe za identyczne z amerykańskimi.

Ten końcowy akord, w którym raz jeszcze odnajdujemy Amerykę naszych nadziei i pragnień, z trudnością wielką da się pogodzić z twierdzeniem, że w polityce zagranicznej ideologia jest zbędnym balastem.

Nowość!

JERZY WOLKER

WYBÓR POEZJI

w przekładzie
MARII PETRY

Do nabycia w Świątliwy Polskiej
w Jerozolimie (Hotel Bezalet)
i w księgarniach.

Cena 150 milsów

Nowość!

ADAM RICHTER

UCZ SIĘ ANGIELSKIEGO

Metodyczna gramatyka
języka angielskiego

Nakładem Polskiej YMCA przy APW
TEL-AVIV 1944.

Cena 170 milsów

Adres dla zamówień:

c/o A. MILLER, YMCA Buildings
St. Julian's Way, JERUSALEM.

J. W. HIRSCHBERG

CO WIE INTELIGENCJA ARABSKA O POLSCE?

Wojna obecna przyspieszyła wybitnie tempo rozwoju krajów arabskich. Dojrzały one politycznie, podniosły się ekonomicznie, weszły w orbitę zainteresowania całego świata, obu półkul. Inteligencja arabska zapoznała się bliżej z problemami Europy, poznała też Polskę i Polaków.

Gazety już pierwszego dnia wojny, zaznając czytelnika arabskiego z odległym dlań dotychczas krajem, nazywanym z angielska „Polandą”. Czytał później o bohaterach wyczynach polskich lotników, którzy brali udział w bitwie nad Londynem, a obecnie pomagają kruszyć Niemcy. W ostatnich tygodniach wybiła się na czoło sprawa granic polsko-rosyjskich. Obecnie znów pisze się i mówi o polskich komandosach we Włoszech.

W krajach arabskich zna się jednak i żołnierza polskiego nie tylko z gazet, ale i z autopsji, potrafi się odróżnić go od żołnierza innego państwa.

Wraz z Anglikami hamowali polscy obrońcy Tobruku — w najgroźniejszych chwilach — niesamowity rozpęd maszyny wojennej Hitlera i pomogli wstrzymać ją tuż u granic arabskiego Egiptu. Z Rosji nadciągający dywizje byłych zesańców, by po krótkim pobycie w Iranie odbyć przeszkolenie w jednym z krajów arabskich.

Wszystko to spowodowało, że na Wschodzie daje się wyczuć wybitne zainteresowanie dla spraw Polski: śledzą je znacznie uważniej aniżeli problemy innych narodów Europy. Istnieje więc możliwość pogłębienia tego zainteresowania, wprowadzenia inteligencji arabskiej w krąg spraw i problemów Polski oraz Środkowej Europy, zapoznania jej w krótkim bodaj i pobieżnym zarysie z geografią polityczną i ekonomiczną Kraju oraz najważniejszymi wydarzeniami z jego dziejów.

Niestety bowiem wiadomości, które posiada o Polsce inteligent arabski, wychowane gimnazjum lub nawet uniwersytetu — nie mówią już o przeciętnym mieszczańskim — są znikome. Zostały mu podane w formie bałamutnej lub też, jeśli chodzi o ich treść, są świadomie, a może raczej nieświadomie fałszywe. Można śmiało powiedzieć, że Arab nawet z „europejskim” wykształceniem o Polsce prawie że nie wie.

By nie operować głosowymi twierdzeniami i zadokumentować, jak inni potrafili wykorzystać naszą beczynność, naszkicujemy pokrótce, — aczkolwiek rzeczowo będzie to wszystko — jakie wiadomości o Polsce znajdujemy w różnych podręcznikach geografii i historii, używanych w ostatnich dziesiątkach lat w arabskich szkołach średnich w Egipcie, Iraku, Palestynie, i Syrii. Zilustruje to dokładnie i lepiej faktyczny stan, aniżeli najwyrazistszy opis.

Zacznijmy od geografii. W podręczniku Sidki'ego, wydanym w r. 1929 w Kairze, czytamy (tom II, str. 143): „Polska liczy 27 milionów mieszkańców. Powstała w r. 1918 po połączeniu krajów zabranych przez Rosję, Niemcy i Austrię. Przyłączono do niej: Galicję (Kraków, Lemberg (!), Przemyśl) i część Górnego Śląska.

Kraj nizinny, przecięty rzeką Vistula, stanowi część nizin północno-niemieckiej. Główne zajęcie ludności stanowi rolnictwo. Węgiel i żelazo znajduje się w okręgu łódzkim. Stolica państwa — Warszawa“.

Wszystko razem zajmuje stronicę druku formatu 16'. W innych podręcznikach geografii Polska nie jest potraktowana lepiej, może gorzej.

Przejdźmy do historii.

Dzieje Polski rozpoczynają się dla Arabów — wedle urzędowo zatwierdzonych podręczników — od okresu najsumtniejszego — rozbiorów. Nawet słowo nie ma o okresie tworzenia się państwa polskiego, jego ludności i kulturze. A wszak znali te dawne dzieje — jak to wykazaliśmy — historycy i geografowie arabscy X—XIII w.! Tak samo brak bodajże najskromniejszej wzmianki o okresie Jagiellonów.

W dziele muftiego Mekki, Ahmeda Dahlana (wydanym w Kairze w 1935 r.) p. t. „Mużmańskie wyprawy wojenne“, — zresztą nie używanym w szkołach, jako zbyt przestarzałym, natomiast znanym w społeczeństwie arabskim — znajdujemy (t. II, str. 230) krótką notatkę o wyprawie na Polskę i zdobyciu Kamieńca Podolskiego w r. 1085 hedżry. Na mocy zawartego traktatu pokojowego Polska zobowiązana była płacić roczny haracz, lecz w r. 1087 hedżry, po ustąpieniu wojsk mużmańskich, Polacy na skutek machinacji (!) Austrii i papieża zbuntowali się przeciwko warunkom traktatu.

W obszernym rozdziale o wyprawie wie-deńskiej (tamże, str. 231-234) tylko mimochodem wspomina autor, że władca Austrii zwrócił się w r. 1094 hedżry do króla Polski o pomoc. Natomiast w opisie walk pod Wiedniem i kleski, zadanej wojskom wezyra Mustafy, brak nawet aluzji do akcji husarii pol-

skiej. W wyniku tej nieudanej wyprawy — pisze dalej autor — papież zorganizował koalicję przeciw panowaniu mużmańców w Europie, do której należała również i Polska.

W podręcznikach, używanych w szkołach średnich, nie ma zresztą i tych skromnych wiadomości, poza dwoma, trzema słowami, że w obronie Wiednia brali udział i Polacy.

W obowiązującym w Egipcie podręczniku historii Europy (wydanie z r. 1931) Rafaata i Hasuna dzieje Polski zajmują trzy strony (str. 132-135) w rozdziale o Rosji. Polska, piszą autorzy, nie posiadała takiej władzy królewskiej jak inne narody Europy. Stan ten powstał na skutek zagarnięcia władzy przez szlachtę i magnatów. Oni to wybierali króla. Rządy sprawował sejm, a każdy poseł miał prawo weta. Za czasów Piotra Wielkiego wybrany został królem książę saski. Po zakończeniu zatargu ze Szwedami poczęła Rosja wtrącać się do spraw Polski, dążąc do utrwalenia stanu anarchii w tym państwie. To też gdy w r. 1768 chcieli Polacy zmienić swój ustrój i ustanowić dziedziczne królestwo oraz wzmocnić władzę wykonawczą, Rosja nie dopuściła do tego i na wniosek Fryderyka Wielkiego zgodziła się wraz z Austrią na pierwszy rozbiór Polski. Zasadniczo jednak Rosja przedtem miała zamiar sama zagarnąć całą Polskę, (str. 133).

Przez 18 lat usiłowała Polska — przy pomocy Francji — naprawić swój ustrój i system gospodarczy. Rosja, obawiając się skutków tych reform, zorganizowała w Polsce partię swych popleczników, następnie zaś wkroczyła siłą zbrojną. Katarzyna i Fryderyk dokonali drugiego rozbioru. Patrioci polscy opuścili kraj, by w Saksonii, pod wodzą znanego we Francji i Stanach Zjednoczonych Ameryki bohatera, Kościuszki, stworzyć silną armię. W r. 1794 wybuchło w Polsce powstanie, oddziały rosyjskie zostają wybite, Kościuszko zaś wkroczył do Warszawy. Lecz znów Rosja i Prusy połączyły się przeciwko Polsce i w r. 1795 dokonano przy współudziale Austrii trzeciego rozbioru Polski, wymazując Polskę z politycznej mapy Europy.

Czyn ten stanowi największą zbrodnię, popełnioną w nowych czasach przez politykę rozszerzania władzy silnych kosztem słabszych narodów (str. 134).

Czynem tym zgrzeszyła Rosja wobec swego słowiańskiego pobratymca i wzmocniła Austrię i Niemcy. Rosja tłumaczyła swe postępowanie wobec Polski i zgodę na rozbiór obawą przed rozpętnaniem... wojny europejskiej. Austria wyjaśniała, że wzięła udział w rozbiorach, by zrecompensować swe straty podczas wojny siedmioletniej. Prusy zaś usprawiedliwiała się słabością swych wschodnich granic i dążeniem do połączenia swych obszarów wschodnich z macierzą.

Aczkolwiek polityka pozbawiła Polaków ich niezawisłości politycznej, nie potrafiła jednak zabić świadomości narodowej. Polacy pozostali wierni swym przekonaniom i dwukrotnie w XIX w. wniecali powstania przeciw Rosji, aż nadeszła wojna światowa i państwa naprawiły grzech XVIII w., wskrzeszając niepodległą Polskę.

Polska powstała z grobu, w którym była pochowana przez okres dłuższy niż wiek. Stała się wielką republiką, szóstą pod względem obszaru, piątą pod względem liczby ludności (27 milionów). Kraj jest urodzajny, bogaty w węgiel, cynk, ołów, co pozwoli Polsce zająć odpowiednie miejsce wśród wielkich państw — jeśli warunki na to pozwolą.

Ciepły i serdeczny ton, w jakim napisany jest ten ustęp, stanowi pewną rekompensatę za krótkość i wadę w układzie — aneks do dziejów Rosji. Odbija się on dodatnio od odpowiedniego rozdziału w książce Sulejmana Hajdara, autora podręcznika historii Europy, obowiązującego w Iraku, a wydanego w r. 1937 w Bagdadzie. Hajdar pisze więcej, ale w

tym wypadku można śmiało powiedzieć: mniej byłoby znacznie więcej!

Rozpoczynając rozdział o wzroście potęgi Rosji i Prus, autor zaznacza (str. 181), że Słowianie, t. zn. Rosjanie, Polacy, Czesi, Serbowie oraz wiele innych ludów Wschodniej Europy, stanowią liczebnie większość ludności Europy, jednak w krąg dziejów Europy narody te wchodziły bardzo późno, za czasów Piotra Wielkiego. Z dawniejszej historii opowiada autor o zwycięstwach książąt niemieckich nad Słowianami, którzy wtargnęli na tereny Niemiec. Ślady tego najazdu pozostały po dzień dzisiejszy. Są to Czesi i Morawianie, którzy zamieszkują terytoria wśród narodu niemieckiego. Następnie w kilkunastu zdaniach podaje dzieje Rusi, wypraw Waregów, najazdów tatarskich, wymienia Iwana Groźnego, Michała Romanowa, by przejść do obszernego opisu panowania Piotra Wielkiego. O Polsce jak dotychczas ani słowa!

I w tym podręczniku dzieje Polski rozpoczynają się pod nagłówkiem o rozbiorach. Po przedstawieniu polityki Fryderyka Wielkiego i podkreśleniu krzywdy, która się dzieła Prusom na skutek odciecia Prus Wschodnich od królestwa pruskiego, następuje charakterystyczny ustęp (str. 190), który podamy w dosłownym tłumaczeniu:

„Słabość Polski. Polska była wówczas najrozleglejzym państwem w Europie, wyjąwszy Rosję. Rozciągała się na obszarach równinnych, bez naturalnych granic. Mieszkańcy jej byli mieszaniną różnych pierwiastków etnicznych, językowych, religijnych. Na czele widzimy Niemców w miastach pruskich, Rosjan na Litwie, podobnie tworzyli Żydzi poważny odłam ludności, zapewniając miasta i stanowiąc w niektórych połowę ludności. Polacy byli przeważnie katolikami, zaś Rosjanie należeli do kościoła greckiego. Te różnice religijne i etniczne nasuwały w Polsce szereg problemów i podzieliły kraj na zwalczające się partie i sekty. To też tłumaczy nam tajemnicę trudności, które wyłoniły się po wielkiej wojnie, gdy rozpoczęły się pertraktacje w sprawie powstania niepodległej republiki polskiej.

Gdy przypatrzymy się (ówczesnemu) rządowi polskiemu, staniamy wobec zjawiska najgorszego rządu, jaki rozum potrafi sobie wyobrazić. Nie posiadało to państwo silnej władzy królewskiej na wzór jego sąsiadów (Prus, Rosji, Austrii), lecz trwało w stanie anarchii i chaosu...“

Jeśli zważymy, że najprawdopodobniej nauczyciel, wykładający ten przedmiot, a już całkiem na pewno uczeń, posługujący się wspomnianym podręcznikiem, o Polsce dawniejszej nie wie nie, zrozumiemy, jaki obraz historii Polski tworzy sobie inteligent arabski i jakie będzie jego nastawienie do odrodzonego Państwa Polskiego.

Nie zetrze już tego wrażenia ani obszerny ustęp o rozbiorach, ani trafna ocena roli Polski w narodowościowym państwie Habsburgów, lub wiadomości o Księstwie Warszawskim, powołanym do życia przez Napoleona. Przypadałoby, że Hajdar znajduje dosyć sposobności, by wspomnieć Polskę porozbiorową. A więc kwestia polska na Kongresie Wiedeńskim, ostateczny podział zdobyczy polskiej i stworzenie Królestwa Polskiego pod berem Romanowych.

Pisząc dzieje Rosji w okresie 1815—1914, kilkakrotnie podkreśla autor (str. 416), jakie uczucia żyli Polacy wobec swych ciemiężycieli, jak wyczekiwali dnia, w którym zrzuć jarzmo imperializmu rosyjskiego i staną się państwem niepodległym. Dokładnie — jak dla ucznia arabskiej szkoły — opisany jest przebieg powstania listopadowego.

Natomiast zupełnie po macoszemu i mocno tendencyjnie potraktowane są dzieje Polski od r. 1918. W rozdziale pod nagłówkiem „Upadek imperium Romanowych i powstanie

Polski oraz państw bałtyckich“ czytamy (str. 586):

„Polska a Rosja. Największym państwem słowiańskim po Rosji stała się wskrzeszona Polska. Pragnienie zapanowania nad terytoriami, do których Polska rościła sobie pretensje historyczne, doprowadziło do szeregu wojen z sąsiadami: Czechosłowacją, Rosją, Ukrainą i Litwą. Najpoważniejszą była wojna z Rosją, zakończona zwycięstwem Polski i odstąpieniem przez Rosję wielkiej części Białorusi. Podobnie zmuszona została Ukraina do rezygnacji ze swych pretensji do Galicji. W wyniku stała się Polska — przy pomocy Francji — rozległym państwem z nieznaczną większością polską, resztę zaś ludności stanowią Niemcy, Litwini, Białorusini, Ukraińcy i Żydzi“.

Hajdar podaje, że posługiwał się przy opracowaniu swego podręcznika dziełami angielskimi, które wymienia, i innymi, — których nie wymienia. Jakże to były te inne podręczniki nie trudno się nam domyślić. Sposób opracowania dziejów Polski — to, co mówi, a jeszcze bardziej może jego niedomówienia — jest zbyt grubym ściągłem szyty, by nie poznać, że jest to robota niemiecka. Zresztą i inne rozdziały o tym świadczą.

Czy winą na takim przedstawieniu spraw Polski leży tylko po stronie arabskiej? Zapewne nie! Cóż bowiem zdziało się podczas dwudziestu lat przed wojną z naszej strony, by ułatwić inteligencji arabskiej poznanie Polski? Ile dzieł naukowych (w językach francuskim czy angielskim), dostosowanych do potrzeb Wschodu, ile broszur treści propagandowej ukazało się w języku arabskim o Polsce?

Czytając dzieła arabskie z różnych dziedzin, natknąłem się tylko jeden raz na ustęp, świadczący o pewnej znajomości stosunków polskich. Mianowicie Mohammed Ali Akubba Purza, b. minister oświaty w Egipcie, członek Komisji redakcyjnej Konstytucji egipskiej, autor obszernej pracy „Podstawy polityki egipskiej“, która ukazała się w ub. roku, z na dokładną polską konstytucję marcową i poprawki późniejsze. Powołuje się też na nie kilkakrotnie. Ten właśnie odosobniony fakt dowodzi, że było i jest miejsce na szerzenie poważnych wiadomości wśród czynników arabskich o Polsce.

W r. 1936 ukazała się w Egipcie broszura „Józef Piłsudski, bohater niepodległej Polski“ piora Mustafy Aleksandrowicza. Broszura, jakich wiele mieliśmy w Polsce. Ale co było dobre w Kraju, gdzie każde dziecko znało geografię i historię Polski, lub nawet w Europie, wcale nie odpowiada potrzebom czytelnika arabskiego. Zamiast różnych szczegółów i nazw miejscowości, nie ma nie mówiących, zdjęć fotograficznych, które trzeba by dopiero objaśniać, żeby czytelnik zrozumiał o co chodzi (lucius a non lucendo), należało raczej w ramy takiej broszury wpisać pewne wiadomości historyczne o Polsce, jej życiu kulturalnym i gospodarczym, a przede wszystkim: dać ładną, wyraźną i nie przeładowaną nazwami mapę Polski, by spopularyzować polskie nazwy miast i rzek Polski chociażby wśród redakcyj gazet i czasopism arabskich.

W wychodzącym w Londynie, wydawanym przez BBC czasopiśmie w języku arabskim, „Radiosłuchacz arabski“, ukazał się przed rokiem artykuł Arolana Bogdanowicza p. t. „Polska i jej przyjaźń z islamem“. Dobry artykuł propagandowy porusza w lwiej części stosunki polsko-tureckie. Turcja jednak dziś — z wielu względów — nie stanowi ośrodka zainteresowań Arabów. Jako jedyny y materiał propagandowy mija się więc ten artykuł z celem — aczkolwiek jest dlań miejsce w większym zbiorze, poświęconym dziejom Polski oraz stosunkom polsko-arabskim.

Widzimy więc, że i podczas wojny narażenie niczego nie zdziało dla zbliżenia polsko-arabskiego, aczkolwiek jest ku temu chyba obecnie najlepsza sposobność. Ze sprawy tej nie należy lekceważyć, poucza nas przykład potężnych mocarstw, które usilnie starają się krzewić swą propagandę nawet wśród małych państw arabskich. Polska i państwa arabskie — w pierwszym rzędzie Egipt — uzupełniają się doskonale pod względem gospodarczym, a współpraca kulturalna odbija się niewątpliwie na całokształcie stosunków.

NOWOŚĆ

WŁADYSŁAW BRONIEWSKI

WYBÓR POEZJI

1925—1944

Wiersze wybrane z tomów:

„Wiatraki“, 1925, „Dymy nad miastem“, 1926, „Troska i pieśń“, 1932, „Krzyk ostateczny“, 1939, „Bagnet na broń“, 1943.

Stron 134.

Cena: 200 milsów.

Nakładem Wydawnictwa „W Drodze“
Jerozolima.

ANTONI SŁONIMSKI

REGNUM OSTATNIE

*Oto one dni przychodzą, że pośle
głód na ziemię, nie głód chleba ani
pragnienie wody, ale słuchania słów.*

*Dnia onego pomdleją panienki
pięknie, nawet i młodzienicy od onego
pragnienia.*

Amos 8. 9.

Pod drzewem, które grom rozdarł,
Na wicherze, w burzy i mroku,
Zamyka Regnum ostatnie
Dziejopis Księgi Proroków.

I oto wyrokiem boskim,
W dziejów zawiłym pochodzie,
Równasz się, polski narodzie,
Z biblijnym ludem żydowskim.

I wstaje polski Jeremiasz,
Joel Mazowsza i Gdyni,
Zachariasz płacze na murach
Nieistniejącej świątyni.

Kłęcząc u wód Babilonu,
Wyjąc jak wilki w mrok nocy,
Bijąc głowami jasnymi,
Modlą się polscy prorocy.

Pod nogi ścielą rogoże
I głowy sypią popiołem,
I czoła kryjąc w pokorze,
Chylą przed gniewnym aniołem.

Za cóż w boleści i w prochu
Jak robak tarzasz się lichi?
Pisz wyrok — polski proroku,
Na murach świątyni pychy.

Wołajcie z grodów szerokich,
Z krąganków wież, z krańców ziemi,
Usłyszaj wasze wołanie
Skrzydleni i poniżeni.

Wasz gniew niech będzie ich gniewem,
Ziemskie granice przekreśli,
Buntem, wolnością i śpiewem,
Łzami i krwią Syna Cieśli.

NOWOŚĆ!

MARIAN GORECKI

STRATEGIA ZWYCIĘSTWA

SZKICE POLITYCZNE

Cena: 200 milsów

Nakładem Wydawnictwa „W Drodze“

ŁUKASZ KURDYBACHA

PIERWSZA ENCYKLOPEDIA POLSKA

W podręcznikach literatury polskiej spotykamy do dzisiaj opinie i sądy o poszczególnych pisarzach, czy o całych okresach, które nie są wynikiem gruntownych badań, lecz opierają się jedynie na głębokiej wierze w słuszność zdania jakiegos, zazwyczaj już dawno nieżyjącego autora. Fakt ten nie dowodzi bynajmniej ani niesumienności, ani braku krytycyzmu u naszych historyków literatury. Po prostu nasze badania nad historią literatury, zapoczątkowane dopiero u schyłku ubiegłego stulecia, nie zdołały jeszcze w tak krótkim czasie objąć wszystkich zjawisk i problemów, nie potrafiły poddać krytycznej rewizji odzieczonych po dawnych wiekach poglądów i ocen.

Do takich okresów krzywdzonych względnie niesprawiedliwie czy nieco powierzchownie ocenianych przez historię literatury, należy nasz siedemnastowieczny barok oraz jego wypaczony wydział w czasach saskich.

Przyszły badacz, usiłujący poznać właściwe oblicze duchowe epoki saskiej, nie będzie miał bynajmniej łatwego zadania. Zaraz na wstępie bowiem napotka na ugruntowane w opinii świata naukowego i uświęcone tradycją poglądy Wieku Oświecenia. A ludzie tej epoki nie mogli, oczywiście, być obiektywni w ocenie czasów saskich. Jak wszyscy reformatorzy, tak i działacze naszego okresu racjonalistycznego, pragnąc uzasadnić i podkreślić wobec opinii publicznej potrzebę i konieczność reform, musieli malować minioną epokę zbyt czarnymi barwami, podkreślać z pewną przesadą wszystkie jej braki i niedociągnięcia, wysmiewać, wyolbrzymiać i generalizować każdy objaw zacofania. Jest to rzecz zupełnie naturalna, a przede wszystkim całkowicie ludzka i stale się dzięki temu powtarzająca. Nauka jednak nie może się na niej opierać.

Nie usiłując bynajmniej zmieniać ogólnie uznawanych poglądów na czasy saskie, pragnę poświecić nieco uwagi jednemu z ich przedstawicieli, mianowicie Joachimowi Benedyktowi Chmielowskiemu. Temat to szczególnie niewdzięczny. Bardzo ujemną bowiem opinię wydał o głównym jego dziele „Nowe Ateny” już za czasów Stanisława Augusta Tomasz Kajetan Węgierski, a za nim powtórzyli ją z małymi tylko zmianami: Bentkowski, Gloger, Piotr Chmielowski, Brückner, Szykowski i Bystroń.

Ten wedle dotychczasowej opinii przedstawiciel najgłębszej ciemnoty i zacofania czasów saskich urodził się w 1700 r. w diecezji łuckiej. Studia odbywał w lwowskim kolegium jezuickim, a następnie w tamtejszym katedralnym seminarium duchownym. Ani jedna, ani druga z tych szkół nie mogła mu otworzyć szerokich horyzontów myślowych. Kolegium jezuickie, opierające ciągle swój program nauczania na kulturze humanistycznej, przepuszczanej przez filtr katolicyzmu, budziło w umysłach wychowanków głęboką cześć dla kultury klasycznej, wyrabiało przekonanie, że literatura i wiedza starożytnych Rzymian jest szczytnym osiągnięciem ludzkości, do którego już nie, a w najlepszym razie bardzo niewiele, mogą dodać późniejsze stulecia. Na dobitkę mądrość starożytną poznawali wychowankowie szkół jezuickich nie tyle z dzieł Arystotelesa, Platona, Cyserona czy Tacyty, ile raczej z komentarzy różnych uczonych zakonników. Tak preparowana, okrojona, często nie zawsze wiernie skomentowana, podawano uczniom w taki sposób, aby nie tylko nie budzić w ich umysłach żadnych wątpliwości, problemów, uwag krytycznych, lecz wręcz przeciwnie, aby wywołać w nich wiarę, iż szkoła dostarcza im wiedzy absolutnie pewnej, niezachwianej. Odżyła w ten sposób ta typowa dla czasów saskich, a przypominająca wieki średnie, bezwzględna wiara w autorytety, w ich wszystkie poglądy i twierdzenia, szczególnie wydrukowane. A była ona tak głęboka, że nawet długoletnie doświadczenia życiowe nie potrafiły jej zachwiać. Innymi słowy mówiąc, zadrukowane karty książek, napisanych przede wszystkim przez jezuitów, przesłoniły tak dalece świat wychowankom ich szkół, że byli oni zdolni jedynie do powtarzania w każdej okoliczności poglądów, wyczytanych w takim czy innym dziele.

Jeżeli do tego dodamy późniejsze studia teologiczne Benedykta Chmielowskiego, które z natury rzeczy muszą zawsze uprawiać kult autorytetów, będziemy mieli pełną charakterystykę jego duchowego oblicza.

Zwracał on na siebie uwagę zdolnościami i ogładą towarzyską. Pośrednim tego dowodem jest fakt powierzenia mu zaraz po ukończeniu teologii wychowania młodego Dymitra Jabłonowskiego, a więc syna najwplywowszego wówczas rodu na Ziemi Czerwieńskiej. Z nieznanych bliżej powodów nie długo spełniał te zaszczytne obowiązki. W 1725 bowiem roku widzimy go już w Firlejowie pod Rohatynem, w charakterze proboszcza tamtejszego kościoła, przy którym pozostał do śmierci, chociaż z czasem uzyskał godność dziekana rohatyńskiego, proboszcza podkamienieckiego, a z rąk uczynego biskupa Józefa Żałuskiego tytuł kanonika kijowskiego.

Pierwszych dziesięć lat pobytu w Firlejowie poświęcił Chmielowski restauracji i urzędowaniu swojej rezydencji duchownej. Śmiało można powiedzieć, że cały „genius” owej epoki wystąpił na probostwie firlejowskim w pełnej okazałości. Chmielowski bowiem

nie tylko odbudował kościół, plebanie, budynek gospodarskie, nie tylko założył w guście epoki wielki ogród włoski, ale napenił to wszystko poezją. I — dosłownie.

Umieścić bowiem w kościele, domu mieszkalnym, na dziedzińcu, w ogrodzie przeszło 160 wierszowanych łacińskich i polskich inskrypcji własnego pióra. Mała tylko część z nich była wypisana na porozwieszanych tu i ówdzie pergaminach czy kartonach; reszta zaś zrobiona była w formie mozaik czy inkrustacji na ścianach, wylepionych gliną. Sam uczony proboszcz dobierał dla tych mozaik kawałki słucznej porcelany i luster oraz zbierał barwne kamyczki. Łatwiej sobie wyobrazić, ile to kosztowało trudu, niż jak to wyglądało. Lecz przejdźmy do formy poetyckiej i treści inskrypcyj, bo one rzucają najlepsze światło na ich autora.

Obcego przybysza, wjeżdżającego w bramę firlejowską, witają zaraz na wstępie dwie inskrypcje: łacińska — dłuższa i polska — nieco krótsza.

Ograniczymy się tylko do polskiej.

Gościu rezydencya chcesz tu wiedzieć czyja? Tego, co tu pasterzem, a każdemu sprzyja. Jest jak groch przy tej drodze, a nie jako ciernie,

Sercem, chlebem rad Gościom, choć się ma mizernie.

Rad wita Sokratesa, co pełny nauki, A nie Machiawella, zdrajcę czeka sztuki.

Przedstawiając się w tak poważny sposób odwiedzającemu, pragnie jakby odciążyć jego umysł czymś lżejszym, bardziej dowcipnym. Dlatego na stojącej tuż przy bramie budzie psa umieszcza również inskrypcję, określającą ściśle obowiązki tego stróża domu:

Na warcie czekać,
Na obcych czekać,
Kasać złodzieja,
Lizać dobrodzieja.

Aż budzi się żal, że pies Chmielowskiego nie umiał czytać tak doskonale wyrażonych swoich obowiązków.

Od psiej budy poczynając, towarzyszyły już inskrypcje zwiedzającemu Firlejów na każdym kroku. Widział je przy wejściu do kościoła, na każdej jego ławce, na bramie do ogrodu, na kuchni, na altanach, ławkach, grotach; każda z nich zawierała jakąś sentencję moralną, przypominała marność tego świata, wzywała do poprawnego życia. Na jednej np. z ławek kościelnych upominał Chmielowski pobożnego:

Kłęcz, a nie rozwalaj się, bo tu Pan nad Pany,
Który od nas powinien być czczony, Kochany.

Najwięcej inskrypcyj, ujętych w formę krótkich wierszyków, było oczywiście na plebanii. Przepelnione były nimi ściany, sufit, drzwi, a nawet meble. Dewocja z ascezą średniowieczną walczyły w nich o palmę pierwszeństwa, podobnie jak i w duszy ich autora. Chmielowski sam napewno nie umiał określić, ile w jego życiu, niewątpliwie pobożnym, było przyzwyczajenia, mody, a ile szczerzej chęci umartwień, płynących z prawdziwie głębokiej religijności. Napenił swój dom malowanymi na ścianach i sufitach symbolami, scenami ze świata starożytnego i z opowiadań biblijnych, pod każdą z nich umieścił odpowiedni wierszyk, żądający pobożności, wyrzeczenia się wygód, pogardy dla tego świata. Ale właśnie ten przepych w urządzeniu domu, zamiłowanie do wytwornych mebli, do kwiatów i drzew włoskiego ogrodu, dowodzi, że ich właściciel lubował się w wygodach doczesnych, choć nad nimi umieszczał ascetyczne sentencje.

Najbardziej charakterystyczne symbole i inskrypcje mieściły się w sali jadalnej. Były tam sceny z bajek Ezopa, głowy ludzkie z lustrzanymi oczyma, Diogenes w beczce, czas z długą kosą w ręku, starożytny „Genius” i t. p. Pod mitologicznym Atlase, trzymającym świat na plecach, pisał Chmielowski:

Świat ostaw na zadzie,
Nie bądźcie na zdradzie.

Na suficie, pod obrazem, przedstawiającym ucztę, można było wyczytać taką przestrożę:

Jedzcie z gustem potrawy, wypróżniajcie flaszki,
Pomnijcie, że z was będą jutro trupie maszki.

Inne znowu napisy przestrzegały przed zbytnim używaniem alkoholu:

Gdzie częste kielichy na zdrowie spełniają,
Tam requiem fortunie i cnotcie śpiewają.

Czy goście Chmielowskiego po przeczytaniu tych wierszyków mieli ochotę do jedzenia i picia — trudno zgadnąć. Chociaż z drugiej strony przy znanym w czasach saskich nadużywaniu potraw i napojów, może te inskrypcje miały swoją rację bytu.

Ciało ludzkie wszak jest smrodem.
Pachnącym go baw ogrodem.

Taki napis widniał na jednej z furtek ogrodu firlejowskiego, do którego zwykle prowadził Chmielowski gości na odpoczynek po obiedni. A było tam co podziwiać. Zaraz na wstępie rzucał się w oczy wielki Herkules,

odziany w skórę, stojący z maczugą na skale, potem Apollo na Parnasie w otoczeniu wszystkich muz, gdzie indziej piramidy egipskie, wizerunki czterech głównych wiatrów, a potem pieczary i groty różnych świętych, ołtarze, katakumby rzymskie, kaplice, altany, symbole czterech pór roku i wiele innych. Każda rzecz ozdobiona, oczywiście, odpowiednim wierszykiem. Jedne z nich były rubaszne, inne dewocyjne, jeszcze inne ascetyczne.

Znając już profil duchowy proboszcza firlejowskiego, zrozumiemy łatwiej jego twórczość literacko-naukową. Zaczął ją w 1735 r. wydaniem książeczki do nabożeństwa p. t. „Bieg roku całego”. Była ona niezwykle popularna. Za życia autora doczekała się sześciu wydań, a później przedrukowywano ją kilkanaście razy z pewnymi zmianami nawet w czasach Stanisława Augusta i z początkiem XIX w.

Zachęcony tym powodzeniem, przystąpił Chmielowski do opracowania olbrzymiego dzieła w czterech tomach, liczących przeszło 3.000 stron. Wydał je w latach 1745—1756. Tytuł jego dziwaczny, napuszony, zrażał zaraz na wstępie, zwłaszcz późniejszych czytelników. Tak chciała jednak wszechwładna moda epoki, lubująca się w długich, często całostronowych tytułach. W porównaniu do nich „Nowe Ateny albo Akademia wszelkiej scjencyjnej pełna, na różne tytuły jak na classes podzielona, mądrym dla memoryj, idiotom dla nauki, politykom dla praktyki, melancholikom dla rozrywki erygowana” — nie są specjalnie czymś strasznym. Uderza w tym tytule — jak już wspomnieliśmy — przesadna bombastyczność zepsutego baroku.

Spotykamy ją również i w tytułach poszczególnych rozdziałów, jak np. „Sekretarz proditor, tajemnice nietajemne, albo rzeczy pod różą kwiatu wyjawione światu, alias niektórych sekretów opisanie”. Ale tym nienaturalnym stylem posługuje się Chmielowski — jakby chciał dogodzić gustom czytelników — tylko w tytułach. Bo później zaraz czytamy: „Nie wylizcam ja tu tych sekretów, ani wyjawiam, do których albo prawem natury, albo prawem Boskim i świeckim obowiązywać jestem”. Jest to język — jak to jeszcze zobaczymy i z innych wyjątków — typowy dla XVIII w., taki sam, jaki spotykamy później w „Monitorze” czy innych zabytkach prozy stanisławowskiej.

Lecz czym są same „Ateny”, nad którymi ich autor pracował przeszło 13 lat? Najlepszą odpowiedź na to pytanie znajdziemy, wylizując treść utworu.

Pomieścił w nim autor szczegółowe — oczywiście stosownie do ówczesnego stanu wiedzy — informacje o różnorodnych religiach, opracował geografii i zarys historii świata, podał informacje o najważniejszych językach ludów, informował czytelnika o stanie politycznym Europy, wprowadzał go w świat roślin, zwierząt i skał, pouczał, jak należy prowadzić gospodarkę wiejską, dawał pożyteczne wskazówki o budownictwie domów, zakładaniu stawów, ogrodów, pasiek, wtajemniczał w sekrety konserwowania wina, hodowli egzotycznych roślin i kwiatów. Jednym słowem, zamknął w swych księgach całą ówczesną mądrość życiową, dostosował ją do potrzeb poziomu, zainteresowań i gustu czytającej w Polsce publiczności. Materiał do tych różnorodnych informacji zebrał z dzieł przeszło stu autorów, których spis dokładny podaje. Znaleźli się w nim wszystkie najwybitniejsi pisarze, uczeni, filozofowie wieków średnich, parę nazwisk humanistów, uznawanych przez władze kościelne, a ściślej jezuickie, a wreszcie cała plejada uczonych jezuickich z polskimi na czele. O jakichś pisarzach racjonalistycznych, o nowszych poglądach filozoficznych, o postępie badań przyrodniczych na Zachodzie — oczywiście głucho. I nie można z tego powodu mieć do Chmielowskiego żadnych pretensji. Na żadnych studiach zagranicznych nie był, parafie swą opuszczał rzadko, jedynie dla załatwienia najważniejszych spraw w Łwowie czy Zamosciu.

Nie wiadomo, czy był choćby w Warszawie, bo nie o tym nie wspomina; sądząc z drobniactw jego różnorodnych informacji, byłby nie omieszkał pochwalić się taką wielką wyprawą.

Przyzwyczajony w szkole jezuickiej do bezwzględnej zaufania we wszystko, co napisali uczeni uznawani, względnie poleceni przez oficjalne czynniki kościelne, wydobywał z dostępnych mu autorów wszystko, co mogło czytelnika zainteresować, pouczyć, zaciekać i w najlepszej wierze umieszczał w swoim dziele. Jeżeli nawet jego własne doświadczenie życiowe nie zgadzało się z poglądami książkowymi na jakieś zagadnienie, był wówczas bezradny i zakłopotany jak dziecko, nie widząc, jak z tego wybrnąć. Nie mając w takich wypadkach innego wyjścia, używał tak naiwnego argumentu na obronę poglądów książkowych, że budzą one dzisiaj pobłażliwy śmiech.

Omawiając świat czarów i czarownic, — oczywiście na podstawie autorów średniowiecznych i polskich jezuickich, — twierdził z całą stanowczością, że czary istnieją, chociaż — co już należy uznać za postęp — jest skłonny szereg ich objawów przypisać złośliwości ludzkiej. Osobistych poglądów jednak nie wypowiada, nie mówi o czarach w Polsce.

„Schadzki swoje — pisze — mają czarownice we Włoszech o północy, gdy wielka ciemność i chmury się trafiają, w Lotaryngii w środę i sobotę, a czasem w poniedziałek. Inne sejmikują w samo południe.” Ale to wszystko dotyczy zagranicy, a o Łysej Górze cicho. Po prostu żaden z czytanych autorów o czarach polskich nie wspomina.

Abym jak najwszechstronniej poinformować czytelnika o całości zagadnienia, wspomina również o twierdzeniach ludzi, bywających w obcych krajach, iż we Francji, Włoszech czy nawet Niemczech czarów nie ma. Na podważenie ich dowodów powołuje się na różnych autorów średniowiecznych i humanistycznych, a wreszcie tak kończy: „A dajmy na to, że czarów i upiórów nie masz w cudzych krajach; nie idzie konsekwencja, że i w Polsce, osobliwie na Rusi ich nie masz, bo non omnis fert omnia tellus.” A że na Rusi są, dowiedziały się od swoich nauczycieli w kolegium lwowskim, mianowicie od Jerzego Gengela i Gabriela Rzączyńskiego.

Chcąc oświecić i pouczyć czytelnika, referuje Chmielowski, nie tylko, jakbyśmy dzisiaj powiedzieli, stan badań nad danym zagadnieniem, ale także podaje mu szereg rad praktycznych, dotyczących życia codziennego. Poucza więc szlachcica, jak może, siedząc bez ruchu w pokoju, widzieć wszystko, co się dzieje na podwórzu — a sprawa to ciekawa, bo proponuje zrobienie w pokoju ciemni optycznej; daje wskazówki, jak robić w domu lustra i proch strzelniczy, jak sklejać sztuczne szkło, wywabiać plamy z sukna, zatrzymać krew, płynącą z nosa, leczyc brodawki i t. p. Postęp nowoczesny i szereg doświadczeń własnych autora walczy w tych radach z największym obskurantyzmem, zaczerpniętym z autorów średniowiecznych. W małżeństwie np., pragnącym żyć w zgodzie, powinien mąż nosić stałe róg jeleni, albo serce samca przepiórki, a żona — samicy; jeśli się chce komuś sen odebrać, należy mu włożyć do pościeli oko jaskółki i t. p.

Zwolennikom wesołych dowcipów podaje wskazówki, „jak jaje przez klucz przeprowadzić”, co czynić, aby jajo latało po powierzchni, aby mięso na stole robaczliwym się pokazało, żeby żelazo na stole tańcowało”, a nawet znany z „Pana Tadeusza” „sekrety Wojskiego”: przyrządzenia szczupaka tak, by bez kraniania mógł być w części pieczony, w części gotowany i smażony.

Uzupełnieniem całego dzieła jest alfabetyczny katalog najślawniejszych osób, a raczej alfabetyczne ułożenie wiadomości o różnych sprawach i postaciach, mogących interesować ówczesnego czytelnika. Przeważa oczywiście świat starożytny i średniowieczny; w historii nowożytnej nie wychodzi poza wiek XVI. O Polsce i Polakach mało tu znajdujemy wiadomości. Wśród nich wspomnieć należy o Koperniku. Wśród informacji o nim doskonale charakteryzuje Chmielowskiego. Podawamy krótkie szczegóły o młodości i studiach toruńskiego astronoma, tak pisze:

„Obserwacje jednak swoje aż w lat 36 na wielkie godnych ludzi prośby wydał na świat, Pawłowi III papieżowi je przypisał. Trzymał takowe sistema, że okrąg ziemi koło słońca swój bieg odprawuje i obrót, którą sentencję zakazała była stolica apostolska, iż przeciw Pismu Świętemu. Ale tych wieków chwytają się jej niektórzy.”

Poznawszy w pobieżnym skrócie treść „Nowych Aten”, łatwiej nam będzie dokonać ich ostatecznej oceny. Przypomnieć jednak przedtem należy, że pod koniec XVII w. budzi się w Europie dążność do encyklopedycznego opracowywania stanu ówczesnej wiedzy. Różne prace i próby w tym kierunku obserwujemy między innymi w Anglii, Francji i Niemczech. Ta sama myśl napisania pierwszej polskiej encyklopedii przeświecała niewątpliwie i Chmielowskiemu. Ze oparł on ją na stanie wiedzy XVI w., nie należy się dziwić; na tym samym poziomie stała cała ówczesna Polska, a — co jeszcze ważniejsze — jedynie tylko literatura naukowa, oparta o zdobycze epoki humanizmu, była w Polsce dostępna. Na korzyść Chmielowskiego trzeba przytoczyć fakt, iż umieścił on wszystko z nowszych czasów, o czym tylko sam mógł się dowiedzieć. Stąd pewne bardziej nowoczesne wiadomości z dziedziny nauk matematycznych, fizycznych i przyrodniczych, dla których autor miał niewątpliwie zainteresowanie, a jedynie okoliczności nie pozwoliły mu ich pogłębić. Z olbrzymią pracowitością i trudem całego życia zebrał Chmielowski w „Atenach” całą wiedzę polską w czasach saskich i to jest jego największą zasługą. Uczynił swoje dzieło tak typowym i wszechstronnym dokumentem epoki, odzwierciedlił w nim tak doskonale wszystkie ówczesne poglądy, myśli, zainteresowania, że żaden poważny badacz życia umysłowego czasów saskich nie może go pominąć.

Gdy pod tym kątem patrzymy na „Nowe Ateny”, gdy nie szukamy w nich zdobyczy czasów późniejszych, czy nowoczesnej myśli postępowej, gdy nie wymagamy od nich tego wszystkiego, co przyniosła dopiero Wieś Oświecenia, czy stulecia następne, musimy panujące dotychczas sądy o nich w historii literatury zmodyfikować, a ich autorowi przyznać zasługę podjęcia się trudu opracowania pierwszej polskiej encyklopedii.

ALEKSANDER THEN

Początek wojny – w roku 1935

Według złożonych swego czasu przez Edena w Izbie Gmin rewelacji, Rudolf Hess oświadczył po wyładowaniu w Szkocji, że Niemcy gotowe są pertraktować z Anglią o pokój, ale nie za pośrednictwem gabinetu Churchilla, który przygotowywał wojnę od r. 1935.

Rok 1935 był bezspornie przełomowym w sytuacji Europy po pierwszej wojnie światowej.

W Berlinie Hitler ugruntował ustrój narodowo-socjalistyczny po krwawej czystce z 30 czerwca 1934 r. i po zlikwidowaniu frakcji Roehma i Strassera. W Londynie stoi u steru gabinet Unii Narodowej. Premier — Ramsay Macdonald, wicepremier — Baldwin, minister spraw zagranicznych — Sir John Simon z wiceministrem Edenem. W Paryżu dwóch żonglerów politycznych na czele rządu: Pierre Laval i Flandin.

W r. 1933 Flandin, nie będąc już, ani jeszcze, ministrem, oświadczył: specjalnemu wysłannikowi jednego z wielkich dzienników warszawskich: „Na miłość boską, jeśli ma pan jakiś wpływ na opinię publiczną w Polsce, niech pan lansuje konieczność zwrotu Korytarza Niemcom, boć to przecież jaskółka niezgody, z którego wyniknie nowa wojna europejska”. Ambasador Chłapowski urządził wówczas Flandinowi za to oświadczenie niebywałą awanturę.

W lutym 1935 r. Laval i Flandin przybyli do Londynu i odbyli konferencję z Macdonaldem, Baldwinem i sir Johnem Simonem. Przedmiotem konferencji był szybki rozwój sytuacji w hitlerowskiej Rzeszy w związku z propagandą Goebbelsa przeciw „dyktatorowi” Wersalskiemu i stanowisko Mussoliniego w przeddzień wyprawy afrykańskiej, grożące ostrym konfliktem w łonie Ligi Narodów.

Na pograniczu Francji, w zagłębiu Saary, toczy się ostra walka. Propaganda Goebbelsa nie przebiega w środkach. Rzesza plebiscyt wygrywa i staje ponownie nad granicą Alzacji.

W Londynie epizod ten znalazł więcej zrozumienia, aniżeli w samej Francji, uśpionej łabędzim drugim Briend — Stresemann. Masy francuskie, ba, sama Izba Deputowanych, nigdy nie miały należytego zrozumienia polityki zagranicznej. Nie miały nawet w tym kierunku dostatecznego przygotowania. Od tego był spec, każdorazowy minister na Quai d'Orsay. Spec nominalny. Za każdym z nich stał szef gabinetu. Gabinetu się zmieniały, ministrowie odchodzili, Alexis Léger pozostawał. Jak Robert Vansittart w Londynie.

W marcu 1935 r. rząd brytyjski zażądał od parlamentu pierwszych 43 milionów funtów na dobrobrojenie. Żądanie to poparł wydaniem Białej Księgi, w której zwrócił uwagę na niebezpieczeństwo niemieckie.

Za Białą Księgą i za żądaniem kredytów wojennych stoją dwaj ludzie: Robert Vansittart i Winston Churchill.

Do tego to zapewne epizodu historii 1935 r. sięgnąć pamięcią Rudolf Hess.

Dnia 1 września 1939 r. Hitler oświadczył przed Reichstagem, że od chwili objęcia władzy w Niemczech wydusił z budżetu 90 miliardów na uzbrojenie Niemiec. Jakże ubogo wyglądają owe 43 miliony funtów wobec 90 miliardów marek!

Poza owymi 43 milionami funtów żadnego innego „wojennego” kroku Wielkiej Brytanii przeciw Rzeszy nie znajdujemy w historii Anglii z 1935 r. Cały dalszy wysiłek angielskiej polityki zagranicznej tegoż roku skierowany był przeciw wojownicemu Mussolinemu.

Cóż działo się po drugiej stronie Renu? W marcu owego 1935 roku Hitler wydał dekret o odbudowie armii, nie oglądając się już więcej na Traktat Wersalski, a korzystając z przyznanego mu przez Ligę Narodów teoretycznego równouprawnienia. Dekret organizacyjny stwarzał od razu 20 korpusów. Przewidziano jednak dyslokację tylko dla osiemnastu korpusów. Zastanawialiśmy się wówczas w Berlinie w gronie korespondentów zagranicznych, na co Niemcy przeznaczają te dwa ukryte korpusy? Zatelefonowałem do mojej redakcji w Warszawie, że na bliskie obsadzenie zdemilitaryzowanej Nadrenii, po rychłym podeptaniu Traktatu Lokarneńskiego. Lochner z United Press, Niemiec amerykański, prezes Związku Prasy Zagranicznej w Berlinie, ten sam, który we wrześniu 1939 zapowiedział świat, że Częstochowa nie była bombardowana przez Niemców — śmiał się. W rok później Niemcy zajęli Nadrenię i umieszcili tam owe dwa korpusy.

Wypadki toczą się szybko. Zaniepokojony Laval przybywa do Warszawy. Targuje się o Pakt Wschodni, którego koncepcja nie może ruszyć z miejsca. Jest maj. Marszałek Piłsudski leży na śmiertelnym łożu. Rozmowy nie doprowadzają do żadnego rezultatu.

Laval opuszcza wydatną dolną wargę i jedzie do Moskwy. Uroczystości, przyjęcia, bankiety, a na deser pakt wzajemnej pomocy francusko-sowiecki.

Któżby przypuścił, że ten dzisiejszy Quisling francuski, zaprzędany od pamiętnych dni w Montoire Niemcom, miał wówczas jeden wielki cel: osaczenie i unieszkodliwienie Niemiec? Przeszkodzenie Hitlerowi w agresji. Związanie Mussoliniego ponownie z demokracjami zachodnimi i ponowne osadzenie potężniejszych Włoch na Brennerze, jak to było po zamordowaniu Dolfussa w r. 1934.

W Rzymie reżyduje w charakterze ambasadora Francji zięć Laval, hr. de Chambrun,

który na miejscu przygotowuje wizytę Laval.

Berlin jest wyraźnie zaniepokojony. Przyjeżdża Beck — bez jasnego celu. Jego exposé wobec dziennikarzy polskich jest mgliste.

Ale kwestia Paktu Wschodniego już się zajął przez parafowanie przez Laval francusko-sowieckiego paktu wzajemnej pomocy. Berlin ześrodkowuje uwagę całej Europy. Na czele niemieckiego Auswaertiges Amt stoi wciąż jeszcze von Neurath, a nie Ribbentrop. Dyplomata starej szkoły, a nie dynamiczny wykonawca woli Hitlera. Polityka zagraniczna Niemiec jeszcze jest urękawiczniona, gładka, giętka, pozbawiona późniejszej brutalności i zwykłego chamstwa.

Do Berlina przybywają Sir John Simon, minister spraw zagranicznych Wielkiej Brytanii, i jego zastępca, Antony Eden. Wciąż jeszcze na porządku dnia znajduje się sprawa Paktu Wschodniego. Hitler nie tai, iż uważa Pakt Wschodni za skierowany jedynie i wyłącznie przeciw Niemcom. A przecież Stresemann podpisał dokument w Locarno z wyrażym, acz nie spisany celem: wolnej ręki na Wschodzie w zamian za gwarancje bezpieczeństwa na Zachodzie. Dopiero co Hitler chełpił się przed Reichstagem wzorowymi stosunkami z Polską. Więc w stosunku do kogo ta wolna ręka? W stosunku do Czechosłowacji, Litwy, Rosji? Polska pójdzie z Niemcami na wyprawę rosyjską, a potem sama zapłaci?

Tego oczywiście ministrom angielskim w Berlinie nie powiedziano. W wywiadzie po skończonych konferencjach minister Eden uchylił przede mną rąbką tajemnicy, nie na tyle jednak, by mi nie pozostawiać raczej pola do domysłów. I pojechał do Warszawy. A mój wywiad tajna służba niemiecka zatrzymała na granicy, dopóki Eden nie wyjechał do Moskwy. Protestowałem w Auswaertiges Amt, a moja redakcja w ambasadzie niemieckiej w Warszawie. Przepraszano, przyrzekano — ale to straty nie odrobiło. Całe interview straciło na aktualności, a tym samym na sensacji.

Tymczasem, jeszcze przed Edenem w Moskwie był Benes, zawierając z Moskwą układ podobny do francusko-sowieckiego, potem p. Eden przybył do Pragi. Był to wspólny kadryl polityczny wokół Berlina, Warszawy i Moskwy. Pakty z Moskwą nie wytrzymały próby ognia w krytycznych latach 1938/39. Dnia 1 września 1939 Polska stanęła sama jedna oko w oko z uzbrojonymi po zęby Niemcami.

Pierre Laval pojechał tymczasem do Rzymu i gdy nie udało mu się odwieść Mussoliniego od wyprawy abisyńskiej za cenę skrawków pustyni, pozostawił mu wolną rękę, by odseparować go od Berlina, przygotowującego się coraz wyraźniej do odwetu. Doroczny zjazd narodowo-socjalistyczny w Norymberdze onego roku 1935, na który po raz pierwszy zaproszeni zostali dyplomaci i faszyści zagraniczni, nie pozostawił wątpliwości co do przygotowań wojennych niemieckich.

Laval potrzebował jednak zgody Wielkiej Brytanii na swój krok w Rzymie, już zresztą dokonany. Sir John Simon już odszedł. Antony Eden pilnował spraw sankcyj w Genewie. Ministrem spraw zagranicznych był sir Samuel Hoare, dzisiejszy ambasador w Madrycie.

Oczekiwał ich wszystkich niespodziewany, a sensacyjny epilog.

Laval zaprasza zimą do Paryża sir Samuela Hoare, któremu towarzyszy lord Vansittart, i przedkłada im plan załagodzenia konfliktu Europy z Mussolinim. Oczywiście, plan korzystny dla Włoch. Sir Samuel Hoare, przekonany, zgadza się na plan i podpisuje obojętny układ francusko-brytyjski. Tymczasem wybuchła bomba. Pertinax (André Géraud), redaktor „Echo de Paris”, dostaje w ręce tekst układu (prawdopodobnie od Alexisa Léger) i ogłasza go, ale nie w swym organie paryskim, lecz w londyńskim „Daily Telegraph”, którego jest korespondentem. Izba Gmin buntuje się przeciw „tajnej dyplomacji”. Jaki? w chwili, gdy Eden w Genewie walczy o sankcje przeciw Wiochom, Sir Samuel Hoare podpisuje w Paryżu układ, korzystny dla tychże Włoch? Taka dwulicowa gra jest sprzeczna z linią brytyjskiej polityki zagranicznej! Dymisja dla ministra spraw zagranicznych!

Dnia 22 grudnia sir Samuel Hoare zdaje urząd Antoniemu Edenowi. Jednocześnie Laval dąży do jakiegoś woty w swej dotychczasowej polityce. Sabotuje układ francusko-sowiecki. Nie przedkłada go parlamentowi do ratyfikacji i odchodzi w miesiąc po swym angielskim partnerze. Dnia 27 lutego 1936 r. Izba ratyfikuje układ — papierowy.

Finał? Mussolini pada w objęcia Hitlera, który w r. 1935 odbudował armię i rozkazał budować w szybkim tempie szosy strategiczne, czołgi i samoloty, przeznaczając na ten cel ogromne, miliardowe kredyty.

W roku następnym odrodzona armia niemiecka zajmie Nadrenię, a Hitler zacznie się rozglądać za innymi zdobyczami. Polska proponuje wojnę prewencyjną, ale spotka się z zupełną inercją zachodniej Europy.

Wojna rozpoczyna się w r. 1935, ale zaślępiony świat nie widział tego. Rozpoczął ją Hitler odbudową armii, wielkiego sztabu, olbrzymimi zbrojeniami, przygotowaniem najeżdzu na zdemilitaryzowaną Nadrenię. Rozpoczął ją Mussolini wyprawą na Abisynię.

Rudolf Hess odwrócił fakty.

Wielka Brytania, ZSSR i Europa

W listopadowym zeszycie londyńskiego miesięcznika „Nineteenth Century and After” redaktor pisma Voigt drukuje pierwszą część swego artykułu p.t. „Czynnik stały rosyjskiej polityki zagranicznej”.

Na wstępie Voigt daje wyraz swemu przekonaniu, że Wielka Brytania weszła do wojny wyłącznie dla ocalenia swojej egzystencji i dla swojego przyszłego bezpieczeństwa. Bezpieczeństwo innych państw europejskich, np. Francji i Rosji, będzie zapewnione z chwilą zniszczenia niemieckich sił zbrojnych. Natomiast Anglia będzie zagłębiona zawsze w tym wypadku, jeśli w Europie jedno z mocarstw, bądź koalicja mocarstw, uzyska pozycję dominującą. Dlatego obowiązkiem polityki angielskiej jest utrzymanie w Europie takiego porządku, któryby polegał na równowadze dużych i małych państw kontynentu. Dziś samo istnienie Europy jest pod znakiem zapytania. Skoro zaś losy Anglii związane są ściśle z przyszłością kontynentu, najważniejszym problemem staje się ratowanie Europy.

Po tych wstępnych uwagach Voigt przechodzi do charakterystyki współczesnej Rosji, pozostawiając ocenę stałych elementów polityki zagranicznej Rosji do następnego numeru Rosja — pisze on — jest czymś zupełnie odrębnym od wszystkich innych państw. W żadnym innym państwie władza nie jest tak silnie skoncentrowana w ręku rządu centralnego, który kontroluje życie każdej jednostki. Inny typ cywilizacji panuje na wschód od granicy polskiej, a inny na zachód od niej. Nie znaczy to, by jedna była gorsza od drugiej. Różnice jednak między nimi są tak duże, że niedocenianie ich byłoby największym błędem, jeśli myśli się o doprowadzeniu do wzajemnego porozumienia. Zachodzą one w każdej dziedzinie: w poglądach na naukę, religię, sztukę, literaturę, rodzinę, prawo, sprawiedliwość. Świadomym celem polityki rosyjskiej było całkowite odgródzenie społeczeństwa od reszty świata. Rosjanie bowiem postanowili stworzyć u siebie idealną społeczność. Na to zaś, aby społeczeństwo jakieś było idealne, trzeba, aby członkowie jego w to uwierzyli, co znowu uwarunkowane jest niemożliwością przeprowadzenia porównań. Stąd potrzebne było Rosji odcięcie od świata. W rezultacie propagandy wewnętrznej, przed którą nikt nie może uciec, mieszkańcy Rosji istotnie wierzą, że bez względu na to, jakie są braki i niedomagania systemu sowieckiego, jest on mimo wszystko lepszy od każdego innego.

Władze państwa rosyjskiego oparte są na trzech fundamentach: NKWD, wojsku i obozach pracy. Te ostatnie stanowią jedną w swoim rodzaju instytucję w świecie. W Rosji nie ma swobody wyboru rodzaju pracy. Z drugiej zaś strony odbywają się na olbrzymią skalę masowe przesiedlenia ludności. Różne bywają cele tych przesiedleń. Na przykład przesiedlenia ludności ukraińskiej miały na oku zarówno cele ekonomiczne, jak i polityczne. Dzięki nim problem ukraiński został w dużym stopniu rozwiązany. Na marginesie Voigt zauważa przy tej okazji, że głównym powodem, dla którego Stalin żąda polskiej „Galicii Wschodniej”, jest właśnie ludność ukraińska, która tam mieszka.

Rozważania swoje kończy autor stwierdzeniem, że najpilniejszym problemem Rosji po wojnie będzie odbudowa zniszczonego kraju, ale poza tym duma narodowa, spotęgowana zwycięstwami armii, sprawi, że Rosja będzie chciała odegrać większą niż dotąd rolę w Europie. Anglia przestanie się interesować Niemcami z chwilą zniszczenia ich potęgi militarnej, natomiast Rosja zechce przekształcić naród niemiecki tak, by służył rosyjskim celom narodowym. Stąd stanowisko Rosji w stosunku do Niemiec jest różne od angielskiego.

ZSSR i Europa Wschodnia

W numerze listopadowym londyńskiego „The Fortnightly” znajdujemy artykuł prof. G. W. Keetona p.t. „ZSSR i Europa Wschodnia”

Konstytucja z 1935 r. a współczesność polska

(Dokończenie ze str. 2)

staci, jaka istnieje, t. j. w tej, która jest jedynie możliwa obecnie, która daje rządowi naszemu potrzebną powagę na zewnątrz i która chroni nas przed popadnięciem w zupełną arbitralność kierownictwa Rzeczypospolitej.

4. Ani poddawanie kontrasygnacie aktów Prezydenta z art. 13-go Konstytucji (z wyłączeniem dwóch wyjątków, o których mówiliśmy), ani jakiegokolwiek inne dobrowolne ograniczanie nieodpowiedzialności władzy zwierzchniej nie jest w żadnej zgoła mierze okazywaniem nieposzanowania prawa. Jest, przeciwnie, sprawadaniem prawa na teren, z którego nigdy nie powinno być zejść: na teren zgody z wolą społeczeństwa.

To stwierdzenie, jak najbardziej kategoryczne, że demokratyzując wykonywanie Konstytucji z r. 1935, nie podważa się jej ważności, jest dla prawnika zrozumiałe samo przez się. Jeśli je tu podkreślam ze szczególnym naciskiem, to dlatego, żeby uspokoić laików, a także dlatego, żeby usunąć pewne zamazywanie istoty zagadnień, którego bywamy teraz świadkami od czasu do czasu.

Niektórzy mianowicie obrońcy Konstytucji z r. 1935, ślawiąc ją za to, że umożliwiła ciągłość Rządu, posuwają troskę o niezaprzeczanie tej jej niewątpliwiej załugi do tego stopnia, że ostrzegają przed podnoszeniem na nią najmniejszego palca. Można by sądzić z ich przestroż, że jeśli choćby w najdrobniejszej mierze odstąpi się od przedwojennego sposobu praktykowania tej Konstytucji, to runie cała i pogrzebie pod sobą nasz tak krwawo okupiony dorobek polityczny.

Ta trwoga jest niepotrzebna. Wciąż się powtarza, że nikt w naszym położeniu nie myśli o odpychaniu Konstytucji z r. 1935. Prawnik może też zapewnić, że przez zdemo-

Autor rozpoczyna swój artykuł od wskazania na olbrzymie trudności, jakie napotkają twórcy przyszłego pokoju po zakończeniu działań wojennych. Zdaniem jego, Wielka Brytania posiada obecnie (było to pisane w październiku, — przyp. red.) ostatnią szansę rozważenia swego stosunku do Rosji. Z chwilą bowiem, gdy Europa będzie uwalniana, trzeba będzie podejmować decyzje polityczne, co z kolei będzie musiało bez uprzedniego uzgodnienia doprowadzić do częstych nieporozumień.

W związku z tym prof. Keeton stara się w następujących punktach ująć najważniejsze zagadnienia wschodniej i południowo-wschodniej Europy:

1) Zainteresowanie Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych Europą Wschodnią (wedł. naszej terminologii — Środkową — przyp. red.) było dotąd małe. Po tej wojnie zwiększy się ono choćby dlatego, że Rosja nie będzie w stanie opatrywać tego obszaru w produkty przemysłowe, a możliwość, by mogły to robić Niemcy, jest daleka.

2) We wszystkich krajach wschodniej i południowo-wschodniej Europy powstanie potrzeba gospodarki bardziej zrównoważonej. Będzie to możliwe do osiągnięcia przez rozwój przemysłu. Warstwa średnia, która w związku z tym znacznie się rozszerzy, przyczyni się do zmniejszenia wpływów politycznych nielicznych rodzin arystokratycznych.

3) W okresie między dwiema wojnami Anglia pozostawiła Francji rolę pilnowania na tym obszarze ekonomicznych i politycznych aspiracji Niemiec i Włoch. Obecnie Wielka Brytania i Stany Zjednoczone będą musiały wypracować swą własną politykę w stosunku do tej części Europy.

4) W poprzedniej wojnie światowej nie było celem sprzymierzonych rozbić cesarstwo austro-węgierskie. Dopiero separatystyczne ruchy narodowe i zasada samostanowienia prez. Wilsona przypieczętowały losy monarchii habsburskiej. Doświadczenie jednak z okresu między dwiema wojnami wykazało konieczność utworzenia związku państw w obszarze Dunaju. Konieczność ta istnieje zarówno ze względów ekonomicznych, jak i ze względu na to, że rozwiązanie problemu mniejszości okazało się niemożliwe bez przeprowadzenia wymiany ludności. Istnieją dwie koncepcje związku państw: jedna przewiduje utworzenie federacji, złożonej z Austrii, Czechosłowacji, i Węgier i obejmującej około 30 milionów ludności; druga, wysuwana głównie przez pewne czynniki polskie, miałaby objąć wszystkie państwa między Niemcami a Rosją, o łącznej ludności od 120 do 130 milionów. Prof. Keeton jest zdania, że mimo trudności natury wewnętrznej federacja taka byłaby możliwa. Główny sprzeciw przeciwko niej jednak zgłasza Rosja. Z drugiej strony jest rzeczą możliwą zrozumienie stanowiska sowieckiego z jednoczesnym zachowaniem prawdziwych sympatii dla polskich aspiracji. Bezpieczeństwo jest w tym samym stopniu najważniejszym celem tak zagranicznej polityki Polski, jak i ZSSR. Ponadto Polska po swoich doświadczeniach dwóch ostatnich wieków czułaby się pewniejsza w ramach szerszej federacji.

Jako punkt piąty rozważa prof. Keeton możliwości urządzenia Europy środkowej (którą nazywa stale wschodnią) na wypadek, gdyby nie doszło do porozumienia między Sprzymierzonymi w sprawie federacji. Wsuwa w takim wypadku możliwość — jako rozwiązanie kompromisowego — stworzenia baz sowieckich w państwach, sąsiadujących z ZSSR na zachodzie. W jaki sposób rozwiązanie takie dałoby się pogodzić z bezpieczeństwem tych państw, — o tym nie pisze. Stwierdza tylko, że Wielka Brytania nie może nie być zainteresowana takim czy innym urządzeniem tych obszarów, albowiem nie tylko ma pakt z ZSSR, ale też weszła do wojny we wrześniu 1939 r. w obronie Polski.

kratyzowanie wykonywania tej Konstytucji wnos z głowy jej ważności nie spadnie. Jeśli jednak mimo to powtarzania i te zapewnienia wielbiciele Konstytucji z r. 1935 będą tak wciąż i z takim patosem wystawiać piersi w obronie jej totalności — będzie mogło powstać podejrzenie, że chodzi im nie tyle o ochronę podstaw polskich władz państwowych na emigracji, ile o zachowanie w pełnym zdrowiu tych postanowień, które uczyniły z tej Konstytucji z r. 1935 instrument antydemokratyczny.

Owóż trzeba te dwie rzeczy rozdzielać jak najstaranniej. Trzeba, byśmy w dyskusjach między sobą stawiali wyraźnie osobno chęć konserwowania podstaw prawnych naszej obecnej działalności państwowej, a osobno chęć konserwowania tego porządku politycznego, z którego wyrósł Konstytucja z r. 1935 i którego upadek jest jedną z najmniej opłakiwanych ruin polskich.

Mieczysław Szerer

WAŻNE DLA P. P. WOJSKOWYCH NA SEZON LETNI

poleca w wielkim wyborze mundury drelchowe i wełniane, szorty, koszule gotowe i na zamówienie, bieleżne trykotową, oraz wszelkie artykuły i galanterie wojskową a także ręcznie haftowane dystynkcje.

GUR-ARIEH

(Właśc. A. Gurman)

TEL - AVIV, ul. ALLENBY 83

Przegląd polityczny

Kronika polska

OPINIE ANGIELSKIE

„Times” określił jako nonsensowne przypuszczenie, że w Londynie mogłoby funkcjonować szesnastu posłów i ambasadorów sowieckich, i charakteryzował jako wyrzucanie pieniędzy ewentualność posłania szesnastu posłów i ambasadorów brytyjskich do ZSSR. Komentarze amerykańskie również dalekie są od zachwyty. Wrażenie pewnej konfuzji podkreśla jeszcze okoliczność, iż wśród Sprzymierzonych nie zatarło się jeszcze wrażenie incydentu z „kairską” depeszą „Prawdy” Jerolimski „The Palestine Post” z dn. 1 lutego przyniósł na temat tego incydentu bardzo interesującą korespondencję Veritasa. Przytoczono tam następującą opinię stockholmskiej „Svenska Dagbladet” z dn. 20 stycznia:

„Ogłoszenie przez „Prawdę” fałszywej pogłoski kairskiej o angielsko-niemieckich rokowaniach pokojowych było świadomą demonstracją. Panowie z Kremla w pełni zdawali sobie sprawę z tego, jakie skutki wywrze wiadomość „Prawdy”. Rosjanie prawdopodobnie mieli zamiar dać w ten sposób wyraz swojemu niezadowolaniu z powodu anglosaskiej współpracy z Polakami”

W ostatnich dniach zewnętrznym wyrazem tej współpracy było przyjęcie przez min. Edena niedawno przybyłego do Londynu przedstawiciela polskiego ruchu podziemnego oraz udział pierwszego lorda admiralacji w tegorocznym Świecie Morza.

Wiadomości z frontów europejskich nie potwierdzają słuszności teorii nacyn połączonych. Opór niemiecki wzmożł się we Włoszech, kruszeje — na froncie rosyjskim. Sytuacja Niemców pogorszyła się tu znacznie na wielu odcinkach frontu: przekroczenie przez Rosjan granicy estońskiej i Ługa na północy, a na południu Luck, Równe i Nikopol — wszystko to są poważne klęski. Najcięższą jednak klęskę ponieśli Niemcy pod Korsuniem, gdzie Rosjanom udało się otoczyć ich dziesięć dywizji i zniszczyć je. Sukces ten jest zmienny z dwóch względów: dotychczas Niemcy ponosili naprawdę na froncie rosyjskim klęskę po klęsce, ale wszędzie potrafili wycofać swoje armie. Otoczenie nad Dnieprem tak znacznych sił świadczy o tym, że proporcje sił coraz bardziej przechylają się tu na ich niekorzyść. Świadczy też i o tym, że strategia obronna Niemców staje się na tym froncie dziwnie mało elastyczna.

Równocześnie posuwanie się wojsk sowieckich wzdłuż południowego wybrzeża zatoki Finskiej zaktualizowało w dyplomacji międzynarodowej sprawę fińską. Rosjanie znaleźli sposoby na przypominanie Finom, że przybliżyli się obecnie znacznie do Helsinek, równocześnie zaś Cordell Hull ostrzegł Finów przed konsekwencjami dalszego pozostawiania ich w wojnie. Sytuacja Finów jest w tej chwili bardzo ciężka. Anglii i Amerykanie najchętniej widzieliby taki epilog wojny, jaki miał miejsce w marcu 1940 r., kiedy obie strony poszły na kompromis. Ale prasa sowiecka zapowiada Finom wkroczenie Czerwonej Armii do Helsinek.

Równocześnie, na drugim krańcu Europy zaktualizowała się sprawa neutralności Hiszpanii, którą zrozumieć można tylko wtedy, jeśli się ją postawi na płaszczyźnie konfliktów ideowych dzisiejszej wojny. Komu zresztą niemiło mówić o czynnikach ideologicznych, może sprawę postawić „trzechwój”, na płaszczyźnie celów i środków. Idzie o to, że w pewnej sytuacji politycznej pewne typy ustrojów okazują się nieprzydatne, szkodliwe, grają źle. Neutralność leży w tej chwili w najmniejszym interesie Hiszpanii, ale Franco jest kłopotliwym jej gwarantem bo trwałość reprezentowanego przez niego reżimu związana jest ze zwycięstwem państw osi. Interes reżimu i interes państwa znajdują się w tej chwili w sprzeczności ze sobą. Można powiedzieć, że Franco, utrzymując się przy władzy w danej sytuacji międzynarodowej, staje się antypaństwem. Gazety londyńskie nadzieje jego na przetrwanie wojny kwalifikują jako naiwne.

We Włoszech ostatnie tygodnie nie przyniosły niemal żadnych zmian w sytuacji wojennej. Opór niemiecki na tym froncie zeszytniał i — jak dotychczas — okazał się bardzo skuteczny, zagraża nawet poważnie przyczółkowi wojsk alianckich pod Anzio.

Równocześnie dowiadujemy się, iż Amgoty zostały zlikwidowane we Włoszech na całym, zajęty przez wojska sprzymierzone terenie, z wyjątkiem strefy przyfrontowej, wszędzie indziej administracja przechodzi w ręce władz włoskich.

Gorzką nekrolog Amgotów przyniósł „Economist”. Czytamy tam, — cytując według depeszy, zamieszczonej w „The Palestine Post” z 8 lutego, — że w południowych Włoszech panuje głód. „Warunki życia w północnych Włoszech, pod okupacją niemiecką, są lepsze niż we Włoszech południowych, pod okupacją aliancką”. Autor artykułu słusznie podnosi, że nonsensem byłoby obarczanie odpowiedzialnością za taki stan rzeczy lokalnych Amgotów we Włoszech. „Wina za złe przygotowanie strony nie wojskowej desantu włoskiego spada na wyższe instancje, i to w Waszyngtonie bardziej niż w Londynie”.

Wszystko to brzmi bardzo nieprzyjemnie. Brzmi nawet groźnie, jeśli sobie uprzytomimy, że upadek Niemiec można się teraz spodziewać z miesiąca na miesiąc i że w każdej chwili Sprzymierzeni mogą stanąć wobec konieczności objęcia administracji już nie w pięciu apenińskiego buta, ale na olbrzymich, wygłodzonych i zniszczonych terenach kontynentu europejskiego. Jak uporać się z tym zadaniem? Oto niepokojące pytanie, od którego tak wiele jeszcze w przyszłości Europy zależy.

Sądząc po eksperymencie włoskim, odpowiedź musiałaby wypaść bardzo smutno. Ale są i objawy pocieszające. Pamięamy, że i na polu wojskowym Sprzymierzeni stawiali pierwsze kroki nieudolnie i popełniali duże błędy. Umieci jednak wyciągnąć z błędów naukę i okazać się zdolni do szybkiej zmiany i poprawy metod. Jednym zaś z elementów i warunków tej zmiany na lepsze była możliwość bardzo — jak na warunki wojenne — jawnej i szczerze dyskusji. Artykuł „Economista” mówi o zjawiskach przykrych i niepokojących, ale fakt, że artykuł taki z tak ostrą krytyką władz wojskowych i taktyki Sprzymierzonych mógł się w czasie trwania wojny ukazać, jest ogromnie pocieszający. Świadczy on bowiem, o żywotności w obozie Sprzymierzonych nawet w surowych warunkach wojennych tej atmosfery, bez której nie ma mowy o prawdziwej demokracji.

Nakładem Fredericka Ungara w Nowym Yorku ukazała się w opracowaniu prof. Manfreda Kridla, Władysława Malinowskiego i Józefa Wittlina antologia polskiej myśli postępowej od XV w. aż po czasy współczesne (ostatni rozdział „Underground Poland” przynosi fragmenty postępowej publicystyki z prasy podziemnej) p. t. „For Your Freedom and Ours. Polish Progressive Spirit Through the Centuries”. Książkę poprzedził przedmowa Malcolm W. Davis. Teksty przekładał Ludwik Krzyżanowski.

Jako t. XVI wydanej pod redakcją dra Ł. Kurdybachy „Szkolnej Biblioteczki na Wschodzie” ukazała się powieść Władysława Orkana „W rozłokach”. Przedrukowano tu przedmowę, jaką poprzedził powieść prof. Stanisław Piłgowski w krakowskim wydaniu „Dzieli” Orkana z r. 1932.

Nowojorski „Tygodnik Polski” wydał jako nr. 42, 43, 44, pod datą 24 października w języku angielskim numer specjalny, poświęcony Warszawie. Numer przynosi pod ogólnym tytułem „Tribute to Warsaw” szereg wypowiedzi o Warszawie wybitnych Amerykanów z Samem Rayburnem, speakerem Kongresu, i Thomasem Dewey, gubernatorem Stanu Nowego Jorku i prawdopodobnym kandydatem partii republikańskiej na stanowisko prezydenta, na czele. Polskimi współpracownikami numeru są: Stanisław L. Centkiewicz, Ludwika Ciechanowiecka, Lidia Ciołkowska, Antoni Cwojdzinski, prof. Oskar Halecki Józef Junosza, Jakob Kenner, prof. Manfred Kridl, Maria Kuncewiczowa, Jan Lechoń, Adam Lisiewicz, Mieczysław Lisiewicz, Zygmunt Nowakowski, Irena Piotrowska, Adam Pragier, Jan Rostworowski, Roman Sołtyński, Jadwiga Sosnkowska, prof. Stanisław Stronicki, Stanisław Strzelecki, prof. Wojciech Świątosławski, Jerzy Tępa, ppłk. Wiesłki, Kazimierz Wierzyński, Józef Wittlin i Stefania Zahorska.

Ukazała się w Palestynie p. t. „Sitwa Rysów, Zbików, Wilków Wileńskiej Brygady Zubrów” książka pamiątkowa, wydana z okazji dwulecia istnienia pisma batalionów Brygady Zubrów Strzelców Wileńskich.

U Mildnera w Londynie wyszła książka Piusa XI „Encyklika o małżeństwie chrześcijańskim (Casti Connobii)” w przekładzie księdza Stanisława Belcha, który zaopatrzył również wydanie w swój wstęp i komentarz.

Nakładem „Książnicy Polskiej” w Glasgow ukazał się tom „Opowiadań z życia pod okupacją niemiecką” Jerzego Pietrkiewicza p. t. „Umarli nie są bezbronni”.

Nakładem Nelsona w Nowym Yorku wyszła w przekładzie Jessie McEwen książka Antoniego Gronowicza „Chopin”. Książkę zdobią rysunki George’a Avisona.

Władysław Inohorski-Lenkiewicz wydał w Buenos Aires nakładem „Codziennego Niezależnego Kuriera Polskiego w Argentynie” książkę p. t. „Minister z pałacu Brühla — U źródeł drugiej wojny światowej”.

Nakładem wydawnictwa „Oxford University Press” ukazał się w serii „The Taylorian Lecture” tekst odczytu prof. Stanisława Stronickiego p. t. „La poésie et la réalité aux temps des troubadours”.

W Londynie wyszła książka Aleksandra Dolskiego p. t. „Kształtowanie elementów państwa. Terytorium, Ludność, Władza. Zagadnienia ustrojowo-prawne”.

Nakładem londyńskiego wydawnictwa „British-Continental Syndicate” ukazała się w Londynie ozdoba rysunkami W. Machana broszura Petera Jordana i Aleksandra Janty p. t. „The First Polish Bomber Squadron in Britain July 1st 1940 — July 1st 1943”.

Nakładem Wydawnictwa Prac Kulturowo-Oświatowych Ministerstwa Obrony Narodowej wyszła w Londynie w drugim wydaniu książka Ottom Laskowskiego „Grunwald”.

Nakładem Światopoli ukazała się w Londynie broszura Bolesława Wierzbickiego „Nine Million Poles Abroad”.

Gen. Lucjan Żeligowski wydał w Londynie u Mildnera broszurę p. t. „Zapomniane prawdy”.

Nakładem Oddziału Propagandy i Kultury Dłwa APW ukazała się broszura Ryszarda Wragi p. t. „Geopolityka, strategia i granice”.

W Montrealu miała miejsce dn. 29 października ub. r. uroczystość inauguracji kanadyjskiego oddziału Polskiego Instytutu Naukowego. Przemówienie inauguracyjne wygłosił dyrektor Polskiego Instytutu Naukowego, prof. Oskar Halecki.

Istniejąca przeszło sto lat amerykańska instytucja naukowa „The Lowell Institute” ogłosiła serię ośmiu wykładów prof. Wacława Lednickiego p. t. „Życie i kultura Polski w literaturze polskiej”.

Jak donosi nowojorski „Tygodnik Polski”, powieść Zofii Koszka — Szczuckiej o św. Franciszku p. t. „Bez oręza”, przetłumaczona na język angielski przez R. Langerow, została nabita przez amerykański „Book-of-the-Month Club” i ukazała się w nakładzie 40.000 egzemplarzy.

W listopadowym numerze „The American Mercury” Leon Dennen pisze p. t. „Inside Poland Today” o Polsce podziemnej. Na ten sam temat „Collier’s Magazine” opasza w dwóch kolejnych numerach z dn. 30 października i 6 listopada artykuł George’a Creela p. t. „Revance in Poland”.

Jak informuje nowojorski „Tygodnik Polski”, znana kanadyjska poetka Adrey Alexandra Brown wydała nakładem Mac Millana w Toronto tom wierszy p. t. „Challenge to Time and Death”, który, zadedykowany „nieśmiertelnej sławie narodu polskiego”, przynosi m. in. poemat o Chopinie.

Nakładem Związku Patriotów Polskich w ZSSR ukazał się w Moskwie tom „Opowiadań” Henryka Sienkiewicza. Przynosi on następujące nowele „Latarnika”, „Janka muzykanta”, „Z pamiętnika polskiego nauczyciela” i „Bartka zwycięzcy” oraz trzy bajki Sienkiewicza. Jak wiadomo, nowela, ogłoszona tu p. t. „Z pamiętnika polskiego nauczyciela”, napisana została przez Sienkiewicza pierwotnie jako „Z pamiętnika warszawskiego nauczyciela”, potem jednak, ze względu na drażliwość cenzury rosyjskiej, pisarz zmuszony był zmienić miejsce akcji noweli i w związku z tym także i jej tytuł. Oryginalny tekst noweli ogłoszony został na kilka lat przed wojną. Wielka szkoda, że Związek Patriotów Polskich nie wziął go za podstawę swego przedruku.

Proces Mussoliniego

We wrześniu 1943 r. wyszła w Londynie książka anonimowego autora Cassius’a p. t. „The Trial of Mussolini”, która miała wszelkie znamiona sensacji. Olbrzymi nakład i duża reklama były zewnętrzną oznaką tej sensacyjności. Długo zastanawiałem się nad tym, czy napisać o tej książce do „W Drodze”. Nie dlatego, że obawiam się sensacyjności. Sensacyjność nie jest w Anglii grzechem. Nie znają tu tego dziwnego polskiego snobizmu pięknośników, którzy uważają, że powieść kryminalna czy sensacja są tabu dla intelektualistów. Ale obawiałem się, że czytelnik polski na Wschodzie, z dala od źródeł bezpośredniej informacji o Anglii, może z tej książki wysnuć najzupełniej fałszywe wnioski. Może oskarżenia, w niej zawarte, rozciągnąć na całą Anglię, na Anglię dzisiejszą, na Anglię, która planuje jutro.

Trzęsąc książkę jest imaginacyjny proces Mussoliniego, który po obecnej wojnie odbywa się w Londynie. Mussolini oskarżony jest o to, że „bezwzględnie i brutalnie zagarnął władzę jako dyktator faszystowski Włoch”; że pogwałcił wolność obywateli i sterroryzował swych przeciwników politycznych; że nie respektował umów międzynarodowych; że wbrew tym umowom zdradliwie wydał wojnę Abisynii w 1935 r.; że wbrew zobowiązaniom toczył wojnę w Hiszpanii w latach 1936, 1937, 1938 i 1939”; że pomagał Niemcom hitlerowskim; że nożem w plecy ugodził Francję w 1940 r.; że zdradziecko toczył wojnę z Grecją, Anglią i Rosją, z którymi to państwami miał pakt o nieagresję...

Obrona powołuje jako świadków cały szereg wybitnych polityków, których zeznania są dosłownie transkrypcją słów, jakie wypowiadali publicznie lub w druku o Mussolinim i faszystwie. W tej „imponującej” galerii świadków spotykamy nazwiska: Sir Austen Chamberlain’a (angielskiego ministra Spraw Zagranicznych w 1924 r.), lorda Rothermere i Ward Price’a (właściciela i redaktora „Daily Mail’a”), Emilia Ludwiga, Neville Chamberlain’a, Churchilla, lorda Simona, sir Samuela Hoare, lorda Halifaxa, Duff Coopera, lorda Lloyda, mr. Amery, mr. Hoare-Belisha itd. Ludzi, którzy w przeszłości zajmowali poważne stanowiska polityczne i z których wielu jest do dziś dnia w rządzie. Ich zeznania reasumuje obrona następująco: „Czy możemy powiedzieć, że rozmaite jego czyny podminowały pokój Europy? Jeśli to ma być próba jego zbrodni w tym okresie, to można znaleźć na to wiele odpowiedzi. Słyszeliście Panowie, od p. Duff Coopera, że przez 13 lat oddał oskarżony wiele usług sprawie pokoju. Słyszeliście od p. Chamberlaina, że wielki pokój monachijski nie byłby doszedł do skutku bez tego pomocy”. „Czy Hiszpania mogłaby być pokonana bez pomocy Chamberlaina i lorda Halifaxa? Czy Włochy mogłyby udzielać poparcia hitlerowskiemu Niemcom, gdyby ich potęga i prestiż nie były podtrzymywane od 1933 r., kiedy lord Simon pojechał do Rzymu, aż do 1939 r., gdy pojechał tam Chamberlain? Wysoki sędzio, jeśli ci dostojnicy mają być także postępieni, to może przecież winą oskarżonego nie jest tak wielka”.

Szary czytelnik w lot uchwyci ironię. Szary człowiek — ten sam, który rzadko w polityce bywa „realista” i który w ogóle nie jest poinformowany o „podstawowych, zakulisowych imponderabiliach” — burzał się już wówczas na cynizm macherów politycznych, a dzisiaj w sposób nierozumny i nieprzezwycięznie śmieje się na cały głos, gdy czyta te obrony Mussoliniego, która jest oskarżeniem jego obrońców.

Oficjalny realizm polityczny i oficjalny oportunizm nie są monopolami angielskim. Gdy czytałem te książki, widziałem przed oczyma Bełkę, który także mógłby figurować jako świadek obrony. Wszak Polska była pierwszą, która „dzięki” niemu uznała aneksję Abisynii. I pomyślałem wówczas że taka satyra — kulturalna, inteligentna, przezytna bez nierzeczowych złośliwości, bez osobistych wycieczek — jest rzeczą zarówno zdrową, jak i pożyteczną. Polska ma piękna tradycję satyry politycznej a to, że nasi „demokraci”, gdy dochodzą do władzy, zatracają poczucie własnej śmiechowości i cudzego humoru, nie powinno nas ani zniechęcać ani przerażać. Anglia także posiada „demokratów” tego typu i bynajmniej nie przestala być prawdziwą demokracją.

Gdy wyszło na jaw, że pod pseudonimem Cassiusa kryje się Michael Foot naczelny redaktor „Evening Standard”, jego ochlebodawca, lord Beaverbrook usunął go z kierownictwa pisma. Jest to już drugi podobny wypadek w ciągu paru miesięcy. Pierwszym było usunięcie z „Daily Expressu” Toma Driberga, świetnego dziennikarza, który pisał pod pseudonimem William Hickey. I tego usunął lord Beaverbrook w związku z jego działalnością polityczną. Bardzo charakterystyczne dla angielskiej mentalności jest, że lord Beaverbrook, zatwardziały konserwatysta do bólu, wespół z pracownikami swych pism spośród dziennikarzy lewicowych. Wystarczy wymienić nazwiska takie jak: Frank Owen, John Gordon, Michael Foot, Tom Driberg, David Low. Niekonsekwencja? Tolerancja? Oportunizm? Obojętne. W każdym razie typowo angielskie.

Lend-lease

Zza oceanu słyszy się od czasu do czasu utyskiwania na Anglików. Nagle, ni stąd ni z owąd — bo właściwy powód przytłumiony jest odległością — jakiś „prawomysłny” Amerykanin przeważnie izolacjonistyczny senator, wyskakuje z atakiem antybrytyjskim. Są to przeważnie sprawy przedwyborcze. Ostatnio głośna była sprawa 5 senatorów, którzy po podróży do Anglii wystąpili — na tajnym posiedzeniu — z ostrą krytyką lend-lease’u. Co powiedzieli, nie wiadomo dokładnie. Prasa amerykańska przyniosła najrozmaitsze wersje, plotki i zaprzeczenia. Niemniej propaganda angielska widziała się zmuszoną do zajęcia stanowiska. Uczyniła to ogłaszając cyfrę ważnych usług brytyjskich w ramach lend-lease’u. Między czerwcem 1942 a kwietniem 1943 r. Anglia dostarczyła armii amerykańskiej 1.362.681 ton towarów i ekwipunku oraz 2.177.384 ton materiałów budowlanych. Dostarczono najrozmaitszych towarów i przedmiotów: drut kolczasty, piece kuchenne, bomby, lokomotywy, namioty, spadochrony, Spitfire’y, sok cytrynowy, armaty, skarpetki i setki innych rzeczy. Anglia nie wstała do rachunku przewozu wojsk amerykańskich na okrętach brytyjskich, transportu drogowego w Anglii, naprawy okrętów w portach brytyjskich na całym świecie, kosztów pocztę, telegrafu, telefonu, światła, opału, wody, klubów i kanton żołnierskich i t. d. Nawet koszt drukowania gazet dla wojsk amerykańskich idzie na rachunek bry-

tyjski. Dla wojsk amerykańskich dostarczono 400.000 ton artykułów spożywczych: ziemniaków, jarzyn, maki, cukru, owoców, konfitur i t. d. Najrozmaitsze wynalazki wojenne: Asdic, radiolokacja i inne, których nawet wymienić nie wolno, zostały udostępnione bez zastrzeżeń armii amerykańskiej. Prócz tego dochodzą towary i usługi, dostarczane i wyświadczane przez Dominia.

Odpowiedź angielska była rzeczowa i przekonująca. Krzykacze zamilkli chwilowo. Ale na dnie tej sprawy na pozór blajej i czysto politycznej kryje się także inna prawda. Znaczenie trudniejsza do rozwiązania i o znacznie szerszym zasięgu. Jeśli pilot angielski poleciał w samolocie amerykańskim na Berlin i rzucił amerykańską bombę, to można obliczyć, że jeśli samolot kosztował 50.000 funtów a bomba 5000, to Anglia jest winna Ameryce w lend-lease’ie 55.000 funtów. Jeżeli jednak pilot nie powrócił z wyprawy, to wiele winna jest Ameryka Anglii? Trudno jest rozliczać się we wojnie sprzymierzeńcom. Ale dlaczego rozliczać się w pokoju? Jeśli Ameryka ma nadmiar pszenicy, a w Chinach panuje głód, to czy lepiej spalić pszenicę ze zyskiem, niż oddać ją za darmo w ramach jakiegoś pokojowego lend-lease’u?

Problem nie jest łatwy. Ekonomści skomplikowali go jeszcze niezrozumiałą dla zwykłego śmiertelnika dyalektyką. Ale faktem jest, że miliony ludzi nagle dowiedzieli się o istnieniu tego problemu. Miliony ludzi prostych i prostolinijnych zna dziś te sprawy, które dotychczas były sekretem wtajemniczonych. Zna i domaga się głośno wyjaśnienia.

Journey among warriors

Znany wszystkim Ewa Curie. Napisany przez nią życiorys jej wielkiej matki był jedną z najlepszych biografii, jakie przed wojną ukazały się na rynku księgarskim. Obecnie wydała nową książkę p. t. „Journey among warriors”. Jest to książka o wojnie. Reportaż z podróży, podczas której autorka przebyła w ciągu paru miesięcy 40.000 mil. Zwiedziła Egipt, Syrię, Persję, Rosję, Bułgarię, Chiny i Indie. Inteligentny reporter — a Ewa Curie jest zarówno inteligentna jak dobrze pisząca — wyniesie z takiej podróży mnóstwo spraw, godnych opowiedzenia i wysłuchania. Jednak ważność tej książki leży w czymś innym. W niesłychanym mnóstwie szczegółów. Nieobciążona balastem zawodowej rutyny, widzi rzeczy i sprawy odmiennie niż zawodowy reporterzy. Jej analiza polityczna czy strategiczna wypada może nieco słabo, ale zyskuje za to stroną ludzką. A to przecież ludzie walczą i giną w tej nieludzkiej wojnie maszyn i organizacji.

Napchna datami, faktami, nazwami miast i ludzi których spotkała — znanych, sławnych, najslawniejszych, to znów szarych, banalnych, nikomu zda się niepotrzebnych, najzupełniej anachronicznych w tej książce o wielkich wydarzeniach, w tej podróży „among warriors”, nie „among soldiers” — ma ta książka charakter dokumentu. I jeszcze jedno. Ewa Curie jest przejęta wojną. Jej kobieca, nieco naiwna egzaltacja jest niewątpliwie szczerą. Nie jest to sprawozdanie cwanaka-reportera, który wszystko wie lepiej i który jest zbliżony wojną i własną przemądrzałością, a który jeśli używa patosu, to jako figury retorycznej. Ewa Curie pamięta Francję lata 1940. Przez całą książkę przewija się leitmotyw tragedii jej ojczyzny. Jest jedna z tych, którzy nie zapomnieli. Pięknie wyraził się to w rozmowie z Ghandim, gdy ta młoda kobieta zbija doktrynerski pacyfizm starca argumentem doświadczenia.

Najciekawsze z całej podróży są wrażenia z Rosji. Aktualność tematu; drobiazgowość szczegółów opisu; fakt, że nazwisko jej matki towarzyszy jej drogą tam, gdzie inni reporterzy potykali się o rosyjską podejrzliwość i nieufność; duży talent pisarski i bardzo żywa inteligencja — to wszystko daje w wyniku obraz Rosji dość wyraźny, aby zezwolił czytelnikowi na wysnuć wniosków i na urobienie opinii.

Ustęp o Chinach powinien przeczytać każdy Polak. Nie tylko z powodu analogii... z Jugosławią. Chiang Kai-shek i komuniści, nawzajem się zwalczający, walczą równocześnie ze wspólnym wrogiem zewnętrznym. (Jak świetne w swej pikanterii jest określenie: „The Chinese Communists, my dear, are somewhere to the right of Mr. Roosevelt”). „Niebezpieczne myśli... Jak źle, jaką zbrodnią jest mieć „niebezpieczne myśli” w wolnych Chinach. Komunizm jako taki był ostro prześladowany przez Chiang Kai-sheka. Rozpoznany komunista nie mógł służyć w regularnej armii chińskiej. Jednak w ciągu pięciu lat swej wojny generalissimus stał się otrzymywał pomoc materialną od Sowietów... „Rozmawiałam w Chungkingu z chińskimi konserwatystami, z komunistami i z liberałami. Natknęłam się na paru prawie-faszystów, którzy powiedzieli mi, że Chiny muszą zapożyczyć powagę i gruntowność od Niemców, a wizję i siłę od Rosji. A paru młodych ludzi mówiło do mnie o przyszłej demokracji według amerykańskiego wzoru... Entuzjasta wolności byłby niewątpliwie rozczarowany, widząc rzeczywiste Chiny: demokratyczne na zewnątrz, totalistyczne od wewnątrz. Jednak sam fakt, że cudzoziemiec mógł spotkać w ciągu paru tygodni tak wielu ludzi o rozmaitych poglądach, którzy otwarcie wyrażali swe zdanie, świadczy o tym, że totalizm chiński nie jest zbyt bezwzględny”.

Odkrywamy nowe, niekonwencjonalne Chiny. Chiny wstydliwie ukryte za zasłoną dymną „power politics”. Prawdziwe Chiny, tak jak prawdziwa Polska, to nie jest bezmyślnie jednolity kraj krzyczący za Chiang Kai-shekiem („The Pilsudski of China”). To kraj, targany walką wewnętrzną. Kraj, który stał na więcej niż jedną myśl i na więcej niż jeden patriotyzm.

Książka Ewy Curie, przez swoje mnóstwo szczegółów tłumaczy i umysławia nam skomplikowanie i wielkość współczesnego świata. Jak daleko lotnik w Bułgarię, któremu opowiadała przez cały wiecór o swej podróży, tak i my, którzy przewędrowaliśmy cały glob, szukamy wytłumaczenia rzeczy i spraw najbardziej koniecznych. „Świat jest mały! — Mały? Kto powiedział „mały”? Dlaczego ten bezmyślny, bez końca powtarzający się frazes? Świat był olbrzymi i rozmaity...” To tylko my czasami jesteśmy mali.

S. Dominik

Wydawca: Ignacy Pokrywa
Redaktor: St. A. Baliński
Drukarnia: The Jerusalem Press Ltd.
Adres Redakcji: Polish Information Centre
Jerusalem, Bezalet Street, House Valero